MIĘDZYNARODOWA ODZNAKA ŁÓDZKA

32 Rok XVI (821)

CENA 1.50ZŁ

12.8.73.

Czytaj na str. 4

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

GDAŃSKA 131 – PO ROKU

Rok temu publikowaliśmy artykuł pt. „Ludzie nie szarotki", w którym przedstawiliśmy historię mieszkańców posesji przy ul. Gdańskiej 131, znajdującej się w strefie ochronnej Łódzkiej Fabryki Maszyn Jedwabniczych „Majed". Właściwie jest to historia ich walki o ochronę własnego zdrowia, walki równie nieustępliwej co nieskutecznej, aczkolwiek opartej na obowiązujących przepisach prawnych popartych argumentacją dowodową o niepodważalnej treści. Przypomnijmy w skrócie fakty:

Posesja oznaczona nr **131** przy ul. **Gdańskiej** składa się z kilku małych, murowanych domów mieszkalnych usytuowanych w podwórku-kiszce, wciśniętych między ogromne zakłady fabryczne: **„Majed", ZPW im. Bardowskiego**, od innej strony zamknięte **drukarnią** i **ZPW im. Struga.**

Hałas i zapylenie powietrza trującymi wyziewami przekracza wielokrotnie dopuszczalne normy. W 1964 roku Stacja San.-Epid. przeprowadziła badania, których wyniki upoważniły Państwowego Inspektora Sanitarnego m. Łodzi do natychmiastowej interwencji, zmierzającej do wyprowadzenia mieszkańców z zagrożonego środowiska. Krótko mówiąc — nie wolno tu mieszkać. A ludzie mieszkali kilkanaście lat. Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury w odpowiedzi na skargę lokatorów, w których imieniu występował Komitet Domowy — 3 maja 1967 r., w 8 miesięcy po otrzymaniu skargi — ustalił: W wyniku zgodnej opinii Wydziału Gospodarki Wodnej Prez. RN m. Łodzi i Państwowej Inspekcji Sanitarnej dla m. Łodzi stwierdzając słuszność skargi lokatorów nieruchomości postanowił ustalić 100-metrową strefę ochronną dla ŁFMJ „Majed". Pozostałe za-

Dalszy ciąg na str. 3

W WIEJSKIM DZIECIŃCU

RYSZARD BINKOWSKI

CHLEB NA KAŻDYM STOLE

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, iż największa w roku batalia o chleb ruszy pełną parą 15 lipca. W związku z tym otrzymałem nawet odgórne poruczenie, aby w owym dniu przyjrzeć się z bliska akcji żniwnej w województwie. Jednakże aura zaczęła stroić figle. Dlatego też musiałem ruszyć w teren 23 lipca, kiedy wczesnym rankiem znowu polało. Cóż, „Odgłosy" nie posiadają prywatnego „zaporożca".

Podbechtany optymistycznymi meldunkami wszelkich publikatorów pojechałem, by naocznie utwierdzić się, czy euforia żniwna ogarnęła już całą wieś. Miałem jednak na uwadze ostrzeżenia, m.in. „Głosu Robotniczego", że z zaopatrzeniem np. nie jest tak dobrze, a jednocześnie świadomość, że sprawa sprzętu wszędzie gra, dzieci otoczone są opieką w „zielonych" przedszkolach, a samotnym ludziom w podeszłym wieku śpieszy się z pomocą.

O wyżej wymienione sprawy indagowałem rozmówców podczas podróży przez pięć powiatów województwa łódzkiego. A oto co zostało mi do odnotowania.

PIERWSZE SPOTKANIA

Bliżej przyjrzałem się pracom żniwnym w powiecie łódzkim. Wskutek burz i ulewnych deszczy część żyt wyległa. Tam, gdzie ziemie lżejsze, zboże dojrzewało wcześniej i ludzie przymierzali się do żęcia, ale przeszkadzał im deszcz. Kiedy w jednej z wsi zagadnąłem gospodynię, czemu wyszła z mężem do dojrzałego i nie wyległego zboża z kosą, odparła:

— Kółko u nas likwidują, a maszyny zepsute.

— Macie żyto do cięcia, więc szkoda czasu. Mógłby ktoś pomóc z innego kółka rolniczego.

— Nie opłaca się, bo podwyższyli stawki za godzinę.

Speszyła mnie taka odprawa, ale potem fakty się potwierdziły. I dlatego nie napiszę etiudy żniwnej. Dalsza bowiem penetracja i rozmowy z rolniczymi władzami powiatowymi, prywatnymi rolnikami, służbą rolną w gminach, pracownikami PGR (chciałem bowiem dać obraz wszechstronny, lecz nie kompleksowy), przekonały mnie, iż akcja żniwna raz jawi się w nieco różowych barwach, w innym wypadku dość czarno, ogólnie zaś wskazuje, że tegoroczne żniwa są ciężkie, choć przebiegają dość sprawnie.

Było wczesne przedpołudnie, po niebie snuły się postrzępione chmury kłębiaste, kiedy znalazłem się na terenie **PGR Dłutów w pow. łaskim.** W podwórzu mechanicy mozolili się nad maszynami do zbierania zielonek, dyrektor przebywał w terenie, jak przystało na ten gorący okres, lecz szybko go odnaleziono. Zacząłem tłumaczyć, że nie zamierzam nikogo odrywać od pracy, na co dyrektor **—Jan Pruszkowski** uśmiechnął się i powiedział, że redaktorom żyje się lekko, po czym wprowadził mnie do „punktu dowodzenia", gdzie co rano mają miejsce odprawy i po-

Dalszy ciąg na str. 6

JAN OKOPIEŃ

KTO WESPRZE KIESZONKOWCA?

Wydana niemal dokładnie przed 7 laty w 50 tys. egzemplarzy „WYSPA SKARBÓW" R. STEVENSONA była debiutem książki kieszonkowej na gruncie polskim. Od tego czasu zarówno fundator pierwszej serii, „Iskry", jak i dwie następne oficyny, które podjęły pałeczkę, PIW i „CZYTELNIK", przyswoiły czytelnikom około 15 mln egzemplarzy książek małego formatu. Wydawane w niezwykłych jak na nasze warunki nakładach 50 tys. — 100 tys., były to pozycje wypróbowane, dobrze sprawdzone w poprzednich, często pa-

Dalszy ciąg na str. 6

BENON LIBERSKI — olej

Jednocześnie przepraszamy Autora i Czytelników za nieumieszczenie podpisu pod reprodukcją obrazu Benona Liberskiego w poprzednim numerze na str. 7.

WYCHOWANIE I PRACA Z MŁODZIEŻĄ

Od kilkunastu miesięcy (po doniosłych uchwałach VII Plenum KC PZPR) zagadnienia wychowania młodzieży i przygotowania jej do nowych zadań w wyższym etapie budownictwa socjalistycznego — weszły w stadium praktycznej realizacji. Pozwala na to m. in. fakt powstania doniosłego dokumentu jakim jest raport Komitetu Ekspertów, który określa perspektywiczne cele kształcenia i wychowania w powiązaniu z zasadami funkcjonowania nowoczesnego społeczeństwa. Uchwały VII Plenum KC PZPR oraz Sejmu z kwietnia 1973 r. stwierdzające, że socjalistyczne wychowanie młodzieży to zadanie o ogólnonarodowym znaczeniu, jedno z kluczowych zadań polityki gospodarczej i społecznej — stawiają przed radami narodowymi wszystkich szczebli problem optymalnych rozwiązań w tym zakresie. Problem niełatwy szczególnie w środowisku wiejskim przy istniejących obecnie dysproporcjach w przygotowaniu młodych ludzi do startu w życiu zawodowym i społecznym.

Uchwała WRN w Łodzi uwzględnia tę sytuację określając zadania w zakresie organizacji kształcenia. Przewiduje się więc powołanie w roku szkolnym 73/74 zbiorczych szkół gminnych w co najmniej 20 proc. gmin w roku szkolnym 74/75 w dalszych 30% a do roku 1980 w pozostałych gminach. W powiązaniu ze zbiorczymi szkołami gminnymi powstaną klasy „uzawodowione" i specjalne oraz sieć przedszkoli i ognisk przedszkolnych w takim rozmiarze, by do roku 1975 objąć zorganizowanym wychowaniem 65 proc. dzieci w wieku od 3 do 6 lat. (w tym 85 proc. dzieci 6-letnich). Uczniom zamieszkującym w dalszej odległości od szkoły stworzone zostaną takie warunki, by czas dojazdu ucznia do szkoły i powrotu do domu nie przekroczył 1,5 godziny.

Istnieją również narosłe latami dysproporcje w poziomie przygotowania kadry nauczycielskiej. Biorąc pod uwagę możliwości szkolnictwa wyższego i konieczność zrównania kwalifikacji nauczycieli w mieście i na wsi program przewiduje 12-letni okres na uzyskanie przez wszystkich nauczycieli (obecnie w wieku 35—40 lat) stopni magistra. Równolegle z dokształcaniem nauczycieli mieć będzie miejsce doskonalenie ich pracy poprzez organizowanie studiów podyplomowych i kursów specjalistycznych.

Oczywiście wszystkie te poczynania będą wspomagane wielomilionowymi nakładami inwestycyjnymi na rozwój i modernizacje bazy materialnej szkolnictwa, z preferencją dla zbiorczych szkół gminnych.

Wymienione powyżej zadania mają charakter podstawowy, stwarzają bowiem warunki dla prawidłowego funkcjonowania szkoły. Sprawą jednak zasadniczą jest problem treści nauczania, form pracy ideowo-wychowawczej jakie zaprezentuje nowy ustrój szkolny. Jest to sprawa najtrudniejsza i najważniejsza. Uchwała WRN poświęca więc tym zagadnieniom szczególnie wiele uwagi. W krótkiej nocie nie sposób przedstawić całokształtu założeń, wymieńmy więc tylko główne kierunki działania:

■ podniesienie rangi wychowania obywatelskiego przy współpracy z organizacjami młodzieżowymi; rozwijanie poczucia odpowiedzialności, zdyscyplinowania i samorządności młodzieży.

■ kształtowanie szacunku do pracy, rozwijanie ambicji przodowania i równania do najlepszych poprzez wprowadzania we wszystkich szkołach pracy społecznie użytecznej, systematyczne organizowanie różnego rodzaju konkursów itp.

■ przygotowanie młodzieży do podjęcia pracy zawodowej (w br. zostaną w każdym powiecie zorganizowane poradnie zawodowe).

■ przygotowanie kadr dla prowadzenia indywidualnych gospodarstw i pracy w PGR, spółdzielczości produkcyjnej i przedsiębiorstw obsługujących rolnictwo.

■ rozwijanie indywidualnych uzdolnień i zainteresowań młodzieży (upowszechnienie kół zainteresowań, sprofilowanie liceów, organizacja klas dla uczniów wybitnie uzdolnionych, wprowadzenie corocznych olimpiad powiatowych i wojewódzkich).

■ działalność opiekuńczo-wychowawcza i współpraca z rodzicami.

Doceniając ważną rolę jaką w wychowaniu młodego pokolenia spełnia kultura i sztuka uchwała WRN poświęca tym zaganieniom również wiele uwagi, przedstawiając cały kompleks zagadnień w zakresie intensyfikacji ruchu k.o. w oparciu o inicjatywy społeczne, pełne wykorzystanie kadry oraz posiadanych środków i urządzeń, w powiązaniu z całokształtem życia społeczno-politycznego i gospodarczego danego środowiska. Chodzi tu zarówno o mocniejsze powiązanie szkoły ze środowiskami, jak i wzajemną pomoc, zlikwidowanie istniejących jeszcze podziałów i rozproszenie wysiłków. Tym sprawom, jak również funkcjonowaniu Gminnych Ośrodków Kultury, będziemy chcieli w przyszłości poświęcić możliwie wiele uwagi. Jest to bowiem również zadanie dla środków masowego przekazu: upowszechniać istotne, szczególnie wartościowe doświadczenia, ciekawe inicjatywy i osiągnięcia szkolnictwa, które wchodzi w etap tak ważnych i głębokich przeobrażeń. Przeobrażeń o powodzeniu których decydować będzie nie tylko działalność powołanych do tego statutowych organów państwowych, ale pomóc, troska i stała uwaga całego polskiego społeczeństwa.

J. ŻAK

CIĄGLE NAM SIĘ KŁANIA ANTEK MURARZ

Mamy jeszcze jedną doskonałą okazję, aby przekonać się, jak nasza świadomość nie nadąża za szybko postępującym życiem. Wprawdzie dziś już nie mówimy: murarze – tylko: budowlani, co jest wyrażeniem zróżnicowania wielorakich specjalności w tym zawodzie. Dziś nowy dom stawiają monterzy, obsługa dźwigu, spawacze, instalatorzy, cieśle, ślusarze, specjaliści od kanalizacji i wodociągów, malarze, elektrycy. Zawody i specjalności jakże różne od murarskich, a przecież w społecznej świadomości kojarzą się one jakoś z Antkiem murarzem, który albo to podawał cegłę majstrowi, albo rozrabiał na przedmieściach wielkiego miasta i stąd znalazł się w piosence.

Kiedy przed laty wystawiano „Grzech" Stefana Żeromskiego i trzeba było do tej sztuki dopisać trzeci, brakujący akt, posłano w nim bohaterkę sztuki, skrzywdzoną dziewczynę właśnie na budowę. Był to czas trójek murarskich, rekordów w stawianiu murów i gwałtownego awansowania w społecznej hierarchii tego zawodu. Zabieg był niezbędny. Nie znaliśmy jeszcze prefabrykatów, a budować trzeba było dużo i szybko. Bohaterka „Grzechu" miała niejako nobilitować ten zawód, pokazując, że nawet panienka z dobrego domu, jeśli jej się noga pośliźnie, może pójść na budowę, świat się od tego nie zawali, a społeczeństwo będzie miało tylko pożytek. A mimo wszystko był to zawód, gdzie bardziej liczyły się mięśnie niż szare komórki.

Dziś sytuacje zmieniły się diametralnie. Dziś niemal żadnej specjalności budowlanej nie można nauczyć się na budowie. Trzeba uprzednio ukończyć szkołę zawodową lub technikum i odbyć praktykę. A mimo wszystko w naszej świadomości ciągle jeszcze kłania się nam Antek murarz. Ciągle nie potrafimy zrozumieć, że dziś mniej się liczą mięśnie, choć też są potrzebne, bo to praca i trudna i ciężka, a bardziej – wiedza i doświadczenie. Dzieje się tak może dlatego, że mniej u nas mówi się o dobrych fachowcach z budownictwa, a więcej wspomina się o tym, że ludzi ciągle trzeba dowozić spod Bełchatowa, Rawy Mazowieckiej czy Brzezin. Ale i z tym dowożeniem też różnie już dziś bywa.

Kiedy budowlani zaczynają stawiać nowy blok, przychodzą ludzie, aby popatrzeć, jak rośnie ich dom. W Łodzi – i nie tylko – ludzie czekają na mieszkania. Z tego powodu praca budowlanych znajduje się stale pod społeczną kontrolą. Chcemy, aby budowano u nas i dobrze i szybko. I słusznie, że chcemy. I słusznie, że krytykujemy każde niedbalstwo, że rażą nas opalający się robotnicy, lub rozprawiający o bardzo ważnych sprawach podczas gdy powinni pracować. Bez przerwy i odpoczynku – to znaczy na trzy zmiany – bo my czekamy na wyniki ich pracy.

Nie wierzę, że ludzie nie chcą pracować. Zawsze byłem zdania, że człowiekowi potrzebna jest praca i to taka, która daje mu zadowolenie, która, choć może trudna i ciężka, ale przebiega sprawnie. Dlaczego nie zawsze tak jest? Widać nie wszystkie mechanizmy tak nastawiono, aby człowiek mógł pracować szybko, sprawnie, ku zadowoleniu własnemu i społeczeństwa.

Jedno z przedsiębiorstw przeszło na zadaniowy system pracy brygad budowlanych. Upraszczając trochę zagadnienie, można to określić tak, że przedsiębiorstwo i brygada umawiają się co do wykonania określonego zadania, terminu i ilości niezbędnego do tego materiału. Oszczędność w czasie, oszczędność materiałów jest premiowana. Pracują wydajniej i lepiej zarabiają.

Dobry pomysł, prawda? Dobry. Ale oto dowiedziałem się nie tak dawno, że przedsiębiorstwa bronią się przed stosowaniem takiego systemu. Dlaczego? Powód okazał się aż nadto prozaiczny. Do tej pory bowiem kierownictwo przedsiębiorstwa kontrolowało pracę brygad. Przy określaniu zadań, role się zmieniają. Brygada zaczyna kontrolować pracę kierownictwa. Za przestoje wynikłe ze złej organizacji trzeba brygadzie zapłacić, a to pogarsza wyniki finansowe przedsiębiorstwa. W innym układzie można posłać ludzi do przerzucania piasku z miejsca na miejsce. Teraz nie, bo ludzie mają zadanie, chcą je sprawnie wykonać, pracują czasem dłużej niż 8 godzin, bo chcą więcej zarobić. I nie chcą tolerować tych, którzy im w tym przeszkadzają.

Przytoczyłem ten przykład, aby pokazać, że we współczesnym budownictwie coraz bardziej zaczynają się liczyć szare komórki. A mimo to ciągle jeszcze kłania się nam Antek murarz. Szczególnie przy wyborze zawodu. Oto leży przede mną dokument, z którego wynika, że 7 lipca br. w szkołach budowlanych Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa zamiast 840 kandydatów do klas pierwszych było tylko 488. Jesteśmy diabelnie niekonsekwentni. Narzekamy na budownictwo, chcemy, aby było coraz lepsze, ale odradzamy komu tylko można naukę w szkołach budowlanych. Więc jak i kto będzie podnosił poziom pracy w budownictwie?

A co trzeba w Łodzi zrobić? Co jeszcze wybudować? Na te pytania można znaleźć odpowiedź na ul. Piotrkowskiej, między ul. Główną a Roosevelta, gdzie w czynie społecznym postawiono pawilon wystawowy. Prezentowane tam makiety dają pojęcie o tym, co trzeba w Łodzi zbudować. Kto będzie to robił? Radzę przy najbliższej okazji wybrać się na ul. Piotrkowską i obejrzeć makiety. Co jakiś czas będą tam coraz inne. Proponuję też przy tym pomyśleć o sprawach naszego budownictwa. Sądzę, że warto. Może wreszcie przestanie kłaniać się nam Antek Murarz.

M. RODAK

ZE ŚWIATA

Stało się tradycją ostatnich lat, że w lipcu przywódcy bratnich partii ze wspólnoty socjalistycznej spotykają się na Krymie. Omawiają wówczas ważkie problemy międzynarodowe, konsultują dalsze kierunki działania, informują się wzajemnie o postępach w budowie socjalizmu w swoich krajach. Również w bieżącym roku — w dniach 30 i 31 lipca — przywódcy partii ośmiu krajów: Bułgarii, Czechosłowacji, Mongolii, NRD, Polski, Rumunii, Węgier i ZSRR dokonali wymiany poglądów na rozwój sytuacji. Po spotkaniu opublikowano komunikat, który prasa światowa zgodnie ocenia jako dokument wielkiej wagi.

Rok, jaki minął od poprzedniego spotkania na Krymie, przyniósł krajom socjalistycznym znaczne sukcesy w realizacji programu pokoju. Przypomnijmy, że w tym czasie wygasła wojna wietnamska, nastąpiło pełne uznanie NRD, zakończyły się rozmowy regulujące stosunki między Czechosłowacją i NRF, pomyślnie zapoczątkowana została Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, zawarto radziecko-amerykańskie porozumienie o zapobieganiu wojnie nuklearnej, mające znaczenie ogólnoświatowe... Miniony rok przyniósł nie tylko wymienione fakty, obfitował także w liczne wizyty, żeby wspomnieć o spotkaniach Leonida Breżniewa z czołowymi politykami świata zachodniego — Nixonem, Brandtem, Pompidou. Pomogły one ukształtować nowy klimat międzynarodowy — aktywnego odprężenia. Zasady pokojowego współistnienia spotykają się obecnie z coraz pełniejszym uznaniem, rozszerzają się stosunki gospodarcze między krajami socjalistycznymi i kapitalistycznymi, otwierają się realne możliwości zapewnienia trwałego pokoju i bezpieczeństwa narodów. Te korzystne zmiany kraje socjalistyczne będą ugruntowywać.

Komunikat o spotkaniu na Krymie ukazuje kierunki dalszego odprężenia. I tak kraje wspólnoty socjalistycznej wyrażają gotowość działania na rzecz zapewnienia sukcesu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Zdaniem naszych krajów — może ona w pełni zakończyć się w bieżącym roku, a jej ostatni etap mógłby być przeprowadzony na najwyższym szczeblu.

Kraje socjalistyczne opowiadają się za rozwojem długofalowych stosunków gospodarczych, turystyki, kontaktów sportowych, wymianą wartości kulturalnych. Taka współpraca powinna rozwijać się w warunkach poszanowania suwerenności każdego państwa i ochrony jego narodowej osobowości.

Kraje socjalistyczne występują na rzecz **„uzupełnienia odprężenia politycznego odprężeniem militarnym, sprzyjającym rozbrojeniu".** Dlatego wiążą duże nadzieje z rokowaniami w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej, które odbyć się mają w październiku br. w Wiedniu. Sfera odprężenia powinna objąć cały świat. Dlatego uregulowania wymagają wszystkie sytuacje konfliktowe.

Kraje socjalistyczne raz jeszcze potwierdzają swe poparcie dla DRW i Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki Wietnamu Płd. oraz domagają się bezwarunkowego wykonania porozumienia paryskiego.

Najostrzej rysuje się obecnie sytuacja na Bliskim Wschodzie. Może ona być regulowana tylko na drodze całkowitego wycofania wojsk izraelskich z okupowanych terytoriów arabskich oraz poszanowania praw państw i narodów tego regionu.

Komunikat przypomina, że polityka rozładowania napięcia cieszy się poparciem narodów. Ale są nadal siły, które przeciwstawiają się odprężeniu i opowiadają się za przygotowaniami wojennymi. Dlatego **„konieczna jest stała czujność wobec polityki tych sił, przeciwdziałanie ich próbom wprowadzania w błąd światowej opinii publicznej, siania nieufności i wrogości między narodami oraz wykorzystywania rozładowania napięcia do podważania pozycji socjalizmu".**

W toku spotkania podkreślono, że do sukcesów pokoju przyczynia się umacniająca się jedność partii komunistycznych i robotniczych. Przywódcy partii krajów socjalistycznych wyrazili gotowość rozwijania wszechstronnej współpracy oraz koordynowania działalności na arenie międzynarodowej.

Spotkanie krymskie określiło etap, na jakim się znajdujemy w walce o powszechne zwycięstwo pokoju, oceniło, co mamy za sobą, a co przed sobą. Już uznano je w prasie światowej za najważniejsze wydarzenie lata 1973 roku.

Nasza partia i całe społeczeństwo polskie — jak to stwierdzono na naradzie centralnego aktywu w Warszawie — przyjęły krymskie spotkanie jako szczególnie ważne wydarzenie w dalszym umacnianiu jedności socjalistycznej wspólnoty i w jej aktywnej polityce międzynarodowej.

* * *

Miniony tydzień był tygodniem berlińskiego festiwalu. Ta wielka międzynarodowa impreza stała się okazją do manifestacji młodzieży na rzecz światowego odprężenia. W atmosferze swobodnej i rzeczowej dyskusji oraz prezentacji dorobku kulturalnego wyrażono zgodnie przekonanie, że najwyższym celem jest zagwarantowanie pokoju na świecie.

„Trzeba być ślepym i głuchym — pisze tygodnik socjaldemokratów NRF „Vorwaerts", oceniając przebieg festiwalu i polemizując zarazem z pojedyńczymi głosami w prasie zachodnioniemieckiej — aby nie zauważyć rozpoczynającego się odprężenia, poczucia pewności siebie, spokoju".

W czasie trwania festiwalowych dni zmarł Walter Ulbricht — wybitny działacz niemieckiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, współtwórca u boku Wilhelma Piecka i Otto Grotewohla, demokratycznego państwa niemieckiego. Ale jego śmierć — zgodnie z ostatnią wolą Zmarłego — nie przerwała programu festiwalu, który, można to już ocenić, odegrał wielką rolę w zbliżeniu między narodami.

W. SŁAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

LUDWIK KRZYWICKI „jest symbolem jako czołowa postać pewnej epoki, jako człowiek ogromnej, wytrwałej, wszystkie dni wypełniającej pracy, wreszcie jako uczony, który chciał i umiał złączyć swoje wysiłki z wyzwoleńczym ruchem mas pracujących, z ich walką o urzeczywistnienie ideałów sprawiedliwości społecznej".

Tak pisali uczniowie o swym mistrzu i nauczycielu w księdze pamiątkowej wydanej w 1938 roku z okazji 60-lecia pracy naukowej Ludwika Krzywickiego.

Ludwik Krzywicki

Jednakże aktywność naukowa stanowiła w przypadku polskiego tytana pracy jeden nurt życia. Drugim, samoistnym, głębokim i równie nieprzerwanym, toczyła się działalność społeczna w szeregach ruchu robotniczego, zainicjowana jeszcze na ławie akademickiej znaczona aresztami, wygnaniem i więzieniem, a mimo to kontynuowana z niezłomnym wysiłkiem i mieniąca się bogactwem form aż do ostatnich niemal dni długiego życia.

Z tych dwóch wątków: niestrudzonego i niezmiennie twórczego naukowca i wytrwałego, wiernego swym ideałom, nieustannie aktywnego działacza, powstała postać wielkiego człowieka czynu.

Krzywicki był indywidualnością niecodzienną, wymykającą się wszelkim próbom schematyzowania twórczości ludzkiej na wąskie i drobne specjalizacje. Był typem polihistora, ogarniającego swym horyzontem intelektualnym wiele dziedzin nauki, więc etnologię, socjologię, ekonomię, antropologię, archeologię, historię, toteż z jego imieniem wiąże się przede wszystkim nowoczesny rozwój nauk społecznych w Polsce.

Warto uzmysłowić sobie, że, kariera naukowa znakomitego humanisty zrodziła się w warunkach szczególnie trudnych nie tylko dla kultury polskiej, ale całego bytu narodowego. Przyszedł na świat **21 sierpnia 1859 roku w Płocku**, a więc zaledwie w 5 lat po krwawym stłumieniu powstania styczniowego, a lata szkolne i studenckie upłynęły mu w okresie „nocy apuchtinowskiej" zalegającej Królestwo Kongresowe, kładącej się czarnym cieniem nie tylko na instytucje i urządzenia oświatowe zaboru rosyjskiego. W takich warunkach ukończył studia przyrodnicze na zrusyfikowanym Uniwersytecie Warszawskim. Oczywiście o autentycznej pracy naukowej wówczas nie było mowy. Tego typu zajęcie pochłania wszakże niezmiernie dużo czasu i myśli, a nie mogło stanowić wyłącznego źródła utrzymania rodzimych naukowców, zwłaszcza wobec braku prawdziwie polskiego uniwersytetu. Stąd też wielu naszych uczonych, którzy nie mogli zrezygnować ze swego powołania, musiało robić karierę za granicą.

Przed Krzywickim droga spokojnej pracy naukowej, zaszczytów i międzynarodowych sukcesów stała otworem. Ominął ją uważając za swój obowiązek pozostanie w kraju i podjęcie równolegle do pracy naukowej jeszcze społecznej i oświatowej. Decyzja powzięta w tej mierze kryła w sobie znamiona bohaterstwa, gdyż poświęcała nie tylko osobiste ambicje i wizje pełnego chwały życia na którejś z zagranicznych katedr, otrzymując w zamian życie wiecznie zaszczutego przez policję polskiego inteligenta bez tytułu naukowego. Krzywicki służył swą wiedzą słuchaczom na tajnych wykładach, które prowadził na słynnych kursach wakacyjnych w Zakopanem oraz na **„uniwersytecie latającym"**. Ta placówka naukowa ze względu na charakter konspiracyjny była unikalną na skalę światową w dziedzinie instytucji o tych rozmiarach, służącej celom oświatowym.

Koroną jego działalności popularyzatorskiej był słynny **„Poradnik dla samouków"**, który przyrównywano nie bez kozery do roli Wielkiej Encyklopedii w okresie przedrewolucyjnej Francji. W kraju pozbawionym narodowej uczelni wydawnictwo to wychowywało ogół obywateli krzewiąc w nim zasady myślenia racjonalistycznego. A przy tym „Poradnik" nie tylko uczył i wychowywał, ale również dawał broń intelektualną do walki z zaborcami. Wielka Encyklopedia Francuska tworzyła człowieka, który zaczynał myśleć innymi kategoriami, aniżeli obiegowe, a zatem oddalała dogmatyczne na rzecz przyrodniczych. „Poradnik" nawiązywał do tej drogi, ale propagował metodę dialektycznego myślenia.

Krzywicki ujawnił tą postawą usposobienie rewolucjonisty, który nie chciał i nie mógł pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy, toteż siłą motoryczną stymulującą jego działalność na tak rozlicznych polach zainteresowań była właśnie dialektyczna walka nowego ze starym. Także jego nauka rodziła się w walce i ścisłej więzi z ruchem niepodległościowym, bowiem powstawała za kratami więziennymi, w żywej tęsknocie do wolności narodowej i społecznej i w całym swoim procesie kształtowania się wypełniały ją pierwiastki bohaterstwa. Krzywicki odkrywał je nie tylko u siebie, ale także w badanym przez siebie ludzie polskim, w robotniku i chłopie. I jeżeli twórczość naukowa i publicystyczna Krzywickiego przekraczała konwencjonalne bariery różnych specjalności, to właśnie dlatego, że rdzeniem jego zainteresowań był całkowity, konkretny i żywy człowiek. Obojętne, czy snuł rozważania z zakresu historii gospodarczej, społecznej, czy kulturalnej, względnie przesuwał się w stronę ludoznawstwa, czy socjologii, zawsze człowiek, a nie jakakolwiek strona rzeczywistości społecznej, skupiała zainteresowania Krzywickiego.

U podstaw socjologicznej metody polskiego uczonego tkwił stosunek przyjaźni do człowieka. Wszak wszelkie dobra, zarówno gospodarcze, jak i kulturalne, tłumaczył, posiadają swój sens o tyle, o ile są wytwarzane w łączności z innymi ludźmi. Trzeba z nimi współżyć duchowo za pośrednictwem uczucia przyjaźni, aby móc ujmować właściwy sens obiektywnych wytworów ich pracy. Toteż z taką mocą realizował zasadę, którą współczesny mu amerykański socjolog **Ch. C. Cooley** nazwał „sympathetic introspection", a **Florian Znaniecki** określał później mianem „współczynnika humanistycznego". Krzywicki stosował tę zasadę już w „Ludach" (1902), a więc wówczas, gdy w etnologii i socjologii panowały wszechwładnie sztuczne konstrukcje ewolucjonizmu Spencera i jego entuzjastów, które nie wnikały do realnego życia, będąc produktem wyobraźni zrodzonej w zaciszu gabinetowym. Kontynuatorem autora „Ludów" w tej metodzie był inny znakomity Polak, **Bronisław Malinowski**, który rozsławił ją i na stałe wprowadził do nauk społecznych.

Sprawa ta nabierała szerszego wymiaru odbiegającego daleko od wąsko pojmowanych sporów między uczonymi. Kwestia przyjacielskiego stosunku do człowieka jako przedmiotu nauki, objawiała dodatkowo znamienny rys Krzywickiego, który pokazywał człowieka czynu jako heroicznego twórcę historii, kultury i gospodarki. Ta cecha, tak charakterystyczna dla polskiego marksizmu, ukształtowała się pod przemożnym wpływem autora „Ludów" i znalazła szerokie reperkusje w filozofii społecznej **Stanisława Brzozowskiego i Edwarda Abramowskiego.**

Według charakterystyki Ireny Krzywickiej, synowej pisarza, był to człowiek **„kanciasty, ostry, pozornie nieprzystępny, który okazywał się najłagodniejszy, o niezwykle wrażliwej naturze, umiejący zawsze pomóc w najtrudniejszych warunkach każdemu, kto znajduje się w potrzebie."**

Te cechy pozwoliły wznieść się pierwszemu polskiemu tłumaczowi **„Kapitału" Karola Marksa**, redaktorowi socjalistycznych czasopism emigracyjnych i współtwórcy **Związku Robotników Polskich** ponad partykularne interesy stronnictw politycznych, powstałych na niepodległych ziemiach polskich po roku 1918. Ruchowi lewicowemu pozostał wierny do kresu swoich dni, służąc zawsze radą, zachętą, pomocą, a ze względu na zasługi i wielki autorytet w kręgach radykalnych oraz prestiż teoretyka i uczonego, przyjął rolę instancji arbitrażowej w sporach partyjnych i często skutecznie pomagał znaleźć wspólne drogi.

Te same cechy zbliżały go do młodzieży akademickiej, która uwielbiała swojego mistrza. Poświęcał jej wiele czasu i uwagi jako rektor **Wolnej Wszechnicy Polskiej**, profesor statystyki i historii ustrojów społecznych na **Uniwersytecie Warszawskim**, profesor **Wyższej Szkoły Handlowej**, czy wreszcie jako przewodniczący **Instytutu Gospodarstwa Społecznego.** Jako nauczyciel akademicki okazywał niezmiennie upodobanie w tropieniu talentów i indywidualności wyróżniających się wśród rzeszy studentów, które korespondowało z omówionym już zainteresowaniem dla człowieka. Przebija ono żywo nawet we **„Wspomnieniach"**, gdzie najwięcej uwagi skoncentrował na osobliwościach, poglądach i życiu innych ludzi, natomiast o sobie traktuje całkiem zdawkowo.

Jeden ze szkiców w zbiorze **„Takimi będą drogi nasze"** (1928) zamknął Krzywicki refleksją, która w lapidarnej formie ogniskuje najistotniejszą cechę jego osobowości: **„A po śmierci na grobie prosty napis położę: tu spoczął syn (...), który ukochał człowieczeństwo swoje."**

Człowieczeństwo jest rzeczywiście kluczem do zrozumienia wielkości Ludwika Krzywickiego jako uczonego i wychowawcy.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

GDAŃSKA 131 — PO ROKU

Dalszy ciąg ze str. 1

kłady przewidziane są do likwidacji w latach 1970—75. Ustalenie strefy ochronnej zobowiązywać będzie fabrykę do sukcesywnego przejmowania zagrożonych budynków mieszkalnych.

„Majed" bronił się przed tą decyzją, ale **Ministerstwo Budownictwa i Materiałów Budowlanych** utrzymało ją. Stała się prawomocna. Wydział Gospodarki Wodnej stwierdził, że decyzja ta zobowiązuje fabrykę do wykwaterowania mieszkańców z nieruchomości przy Gdańskiej 131 w trybie awaryjnym **do końca 1969 r.**

„Majed" bronił się dalej. Uzyskał zmianę terminu wykwaterowania do roku 1970 z powodu braku mieszkań. **Centralny Urząd Gospodarki Wodnej** poinformował Ministerstwo Przemysłu Maszynowego, że: **„za zgodą stron przesunięto termin wykwaterowania do roku 1970. Natomiast w sprawie stwierdzenia czy mieszkańcy tego budynku mogą mieszkać do roku 1975 w takich warunkach — może się wypowiedzieć tylko Inspektor Sanitarny m. Łodzi".**

Był już listopad 1970 r., kiedy w wyniku nieustających starań „Majedu" o niewykonanie decyzji otrzymuje on pismo od MKPG informujące, że:

„W związku z pismami Inspektora sanitarnego dla m. Łodzi o interwencję MKPG zawiadamia, że przyznane izby zastępcze w 1970 r. i planowane w 1971 r. powinny być przeznaczone na wykwaterowanie w pierwszej kolejności mieszkańców domu przy ul. Gdańskiej jako najbardziej narażonych na uciążliwości wynikające z charakteru „Majedu".

W pierwszej kolejności... A więc jest jeszcze „coś" do wykwaterowania... Okazało się, że jest. **„Majed"** wystąpił w lipcu 1970 r. do Wydziału Spraw Lokalowych podając nazwiska lokatorów z posesji przy ul. ...**Żeromskiego 94 a**, których należy przeprowadzić do nowych mieszkań. MKPG śle do Wydziału Spraw Lokalowych pismo nakazujące przydzielić „Majedowi" 15 list zastępczych.

Korespondencja toczy się wartko. „Majed" śle nowe pismo do Wydziału Spraw Lokalowych informując, że strefą ochronną objęte są budynki przy **ul. Gdańskiej 131 i... Żeromskiego 94 a** i w pierwszej kolejności zostaną przekwaterowani mieszkańcy z Żeromskiego... Kiedy i kto objął strefą ochronną tamtą posesję — trudno dociec. W dokumentacji, którą przejrzałam nie ma żadnego śladu na ten temat.

W grudniu „Majed" śle pismo do **Zjednoczenia Maszyn Włókienniczych** z prośbą o pomoc. Potrzebuje pomocy, żeby nie zmieniać kolejności przekwaterowań, zwłaszcza, że przeznaczył budynek przy ul. Żeromskiego na **SWÓJ BIUROWIEC!** Pismo **Inspektora Sanitarnego m. Łodzi** znowu psuje szyki „Majedowi". A pismo nosi już datę **stycznia 1971 r.** Inspektor Sanitarny nie przyjmuje do wiadomości pisma „Majedu" ustalającego kolejność wykwaterowań posesji w strefie ochronnej jako niezgodną z podjętą decyzją (przez Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury z 1967 r.).

Szkopuł. Ale znaleziono wyjście. „Majed" przedstawia propozycję mieszkańcom Gdańskiej... przystąpienia do spółdzielni mieszkaniowych, gdyż tylko takimi mieszkaniami dysponuje. Taka propozycja nie mogła odpowiadać mieszkańcom Gdańskiej, bo przeważająca większość z nich nie miała po prostu pieniędzy na mieszkanie spółdzielcze. Nie chcą? Trudno. „Majed" wraca do swojej koncepcji: pisze do Wydziału Gospodarki Terenowej z prośbą o dokonywanie wykwaterowań według kolejności podanej w wykazie lokatorów posesji przy ul. Żeromskiego. Jest już **styczeń 1973 r.** Odpowiedź przychodzi tego samego miesiąca (prawda jak szybko?) w postaci informacji skierowanej do **Prezydium DRN Polesie** o umieszczeniu w planach na rok 1973 wykwaterowania rodzin z Żeromskiego 94 a i **„rozpoznania co do ustalenia ilości rodzin do załatwienia mieszkań z zasobów RN i z budownictwa spółdzielczego".**

* * *

Mieszkańcy posesji przy ul. Gdańskiej 131 piszą skargę do **Prokuratury**, powołując się na artykuł zamieszczony w „Odgłosach" przedstawiający stan faktyczny, stan nie do przyjęcia i tolerowania w warunkach wzmożonej i słusznej walki o ochronę środowiska ludzkiego. Prosili o przeprowadzenie dochodzenia w ramach prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa. Prokuratura przeprowadziła postępowanie wyjaśniające i w jego wyniku przesłała 5 czerwca br. do Dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Ma-

Dalszy ciąg na str. 4

Listy do Redakcji

„ODBIJANY"

Z listu Czytelnika, w odpowiedzi na artykuł Andrzeja Makowieckiego „Odbijany" dowiadujemy się, że pewien były wychowawca domu dziecka jechał sobie pociągiem. Cóż, dużo osób jeździ pociągami. Ale ten na pewno miły, dobrze ułożony pan spotkał „wykolejeńców". Jakie przedstawia na to dowody? Tylko to, że mają po 16—17 lat i są modnie ubrani. Widocznie każdy młody człowiek ubrany kolorowo jest dla niego wykolejeńcem i smarkaczem. Widocznie nie znam się na ludziach, bo tylu mija mnie codziennie w ten sposób ubranych, a ja ich nawet nie posądzam, że mogą być chuliganami. Będę musiał się nauczyć ich poznawać.

No, ale wracajmy do listu. Na razie na to, że są niebezpieczni, wskazują jedynie ich ubiory, które autor listu tak szczegółowo opisuje. Nie posądzam go o to, aby był zazdrosny. Oburza tego Pana także to, że chłopcy znajdujący się w przedziale nosili pseudonimy „Hitler" i „Belmondo". Wiem doskonale, że dla osób starszych, które przeżyły II wojnę, nie jest przyjemnie usłyszeć to nazwisko, ponieważ kojarzy im się z ogromem zbrodni, jakich dopuścili się ludzie spod znaku Hitlera. Natomiast przezwisko „Belmondo" może tylko wskazywać na to, że chłopiec ten był do niego podobny i nic poza tym. Ale autor wyciąga z tego inne wnioski. Dla niego jest to szajka, która „być może okradnie jutro kiosk lub obrabuje przechodnia".

Zbyt pochopnie ocenia ich i wydaje mi się, że nawet posunął się za daleko. Dobrze, że nie wydało się autorowi, iż naprawdę kogoś obrabowali, a może nawet zranili, kto wie, przecież ten Pan był wychowawcą domu dziecka i świetnie zna młodych. Proponuje nawet milicji, aby się nimi zainteresowała i ubolewa nad tym, że nie zapamiętał wszystkich osób. To naprawdę smutne, ale tylko dla niego. A co najgorsze, to „ta banda" jechała na gapę. Ciekawy jestem, skąd ten Pan to wszystko tak dokładnie wiedział. Sam ich o to nie pytał, ponieważ, jak pisze, wraz ze współpasażerami bał się wulgarnych wyzwisk lub pobicia. Nie sprawdzał biletów też kontroler, a twierdzę tak dlatego, że gdyby to robił, to na pewno gapowicze zapłaciliby mandat.

Ten Pan, jako świetny wychowawca, znający mentalność młodzieży, powinien porozmawiać z tą grupą, wytłumaczyć im, że źle się zachowują, a nie udawać zastraszonego. A może ten Pan nie umie postępować z młodymi. Wytyka im tylko wady i ubolewa nad rodzicami, natomiast nie stara się popracować nad młodzieżą. To chyba nie rodzice są najbardziej nieszczęśliwi, ale Pan, który ma niewłaściwe i nieobiektywne spojrzenie na młodzież.

PAWEŁ WALENCKI
Łódź

GRÓB NIEZNANEGO ŻONIERZA

Uchwałą Rady Miejskiej m. Łodzi z dnia 18 grudnia 1924 r., ufundowany został w centralnym punkcie miasta, na ulicy Piotrkowskiej przy Worcella symboliczny GRÓB NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA. Natomiast samo odsłonięcie GROBU NIEZNANEGO ŻOLNIERZA odbyło się 48 lat temu, w niedzielę 22 marca 1925 roku.

Nagrobkowe epitafium głosiło „NIEZNANEMU ŻOLNIERZOWI — MIASTO ŁÓDŹ".

Podobnie jak w Warszawie, również w Łodzi GRÓB NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA zniszczyli hitlerowcy.

1 listopada 1946 roku, przy ślicznej pogodzie, z udziałem tysięcy mieszkańców Łodzi ponownie odsłonięto łódzki GROB NIEZNANEGO ŻOLNIERZA, odtworzony dokładnie według pierwowzoru. Napis na tej symbolicznej mogile głosi „GROB NIEZNANEGO ŻOLNIERZA". Bystry obserwator ujrzy umieszczony z boku, na czarnej marmurowej płycie napis: „Dar Gazowni Miejskiej 1. XI. 1946" wyjaśniający kto był fundatorem odbudowanego pomnika.

Płonący na mogile znicz, przypomina o bohaterstwie polskiego żołnierza, który na tysiącach bitewnych pól, nieraz z dala od ojczyzny bił się, zwyciężał lub ginął, z myślą o rodzinie, o wolnym kraju, o Polsce.

Natomiast GRÓB NIEZNANEGO ŻOLNIERZA w Warszawie odsłonięto później, bo 2 listopada 1925 roku, w kolumnadzie Pałacu Saskiego, w którym mieścił się wówczas Sztab Generalny Wojska Polskiego. Projektantem był warszawski rzeźbiarz Stanisław Ostrowski. Grobowiec zlokalizowano pod trzema arkadami. W podłogę środkowej arkady wmieszczono płytę z czarnego granitu z napisem: TU LEZY ŻOLNIERZ NIEZNANY".

Hitlerowcy nie uszanowali GROBU NIEZNANEGO ŻOLNIERZA. Zrujnowali go w sierpniu 1944 roku, przejeżdżali nawet po nim czołgami...

Dzisiaj, w każdą niedzielę i święto, na Placu Zwycięstwa w Warszawie odbywa się uroczysta zmiana warty, przed GROBEM NIEZNANEGO ŻOLNIERZA. W obecności tysięcy składających hołd i wyrazy czci — warszawiaków, oraz przybyszów z całego kraju jak również z zagranicy.

GRÓB NIEZNANEGO ŻOLNIERZA jest dzisiaj symbolem wszystkich miejsc walki, wszystkich pól bitewnych gdzie dzielnie walczył, zwyciężał lub ginął polski żołnierz.

JERZY KLAMANN
(ŁÓDŹ)

SPRAWA WSI MARCHEWKA

Dużo miesięcy temu wiele czasopism, także i łódzkich, szumnie zapowiadało proces „kolejowy" gangu ze wsi Marchewki pow. pajęczańskiego. W tej chwili o procesie nic nie słychać (podobno przesłano akta do Katowic) a po wsi chodzą słuchy, że już się oskarżeni „wykupili, bo i mieli za co". Do tych wieści walnie przyczyniają się po pierwsze „więzienne wdowy", rozpowszechniając, że ich mężowie są niewinni i będą zwolnieni a po drugie to fakt, że już kiedyś byli sądzeni za kradzież węgla lecz z powodu „małej szkodliwości społecznej" zwolnieni od kary. Wszystko razem nie przyczynia się w tutejszym społeczeństwie do poważnego traktowania wymiaru sprawiedliwości i daje precedens do pomawiania, że sprawiedliwość daje się przekupić, byle mieć za co.

Procesu o kradzieże kolejowe we wsi Marchewki nie widać, a do winy i kary „dorośli" już młodsi synowie jednego z oskarżonych, gdyż w kwietniu b.r. włamali się do trzech dobrze zamkniętych domów, zamieszkiwanych tylko w okresie lata. Pozabierali przy włamaniu rzeczy różnej wartości i sprawa ich jest już w sądzie dla nieletnich w Piotrkowie Tr.

Nieosadzeni sprawiedliwie ojcowie, to chyba także jedna z wielu przyczyn beztroskiego traktowania cudzej własności przez ich nieletnich synów.
(Nazwisko i adres znane redakcji)

OD REDAKCJI: List naszego Czytelnika publikujemy z nadzieją, że zainteresują się tą sprawą odpowiednie władze. A być może zechcą też za naszym pośrednictwem wyjaśnić społeczeństwu, jak wygląda los głośniej niegdyś sprawy. Chętnie udostępnimy nasze łamy, aby uspokoić wątpiących, że sprawiedliwości nie daje się przekupić.

GDAŃSKA 131 — PO ROKU

Dalszy ciąg ze str 3

szyn Włókienniczych pismo ze swoimi stwierdzeniami, z których najważniejsze brzmi:

„przedstawiony wyżej stan rzeczy jest sprzeczny z przepisami sanitarnymi i budowlanymi oraz jest źródłem masowego niezadowolenia i skarg kilkudziesięciu rodzin robotniczych mieszkających w zagrożonych bezpośrednio budynkach".

Prokurator stwierdził ponadto, że „Majed" wielokrotnie próbował podważyć decyzję o ustaleniu strefy ochronnej nie wykazując przy tym należytego zaangażowania w załatwianiu sprawy zniesienia uciążliwości i przekwaterowania mieszkańców z ul. Gdańskiej 131 i Żeromskiego 94 a. Podkreślić należy, że **szczególnie zagrożeni są mieszkańcy domu przy ul. Gdańskiej 131,** którzy dowodzą nawet, że stwarzane przez zakład szkodliwości doprowadziły do licznych przypadków rozstroju zdrowia lub zaostrzenia się chorób samoistnych.

Słuszne jest położenie akcentu przez prokuratora na szczególnym zagrożeniu mieszkańców Gdańskiej, **ale skąd się wzięło zagrożenie mieszkańców z ul. Żeromskiego?** Sięgam jeszcze raz do dokumentacji. Znajduję bardzo ważny dokument: **4 stycznia 1968 r. Wydział Gospodarki Wodnej i Ochrony Powietrza przesyła do Prezydium RN Wydział Budownictwa i Architektury Oddział Urbanistyki oraz do Komitetu Domowego Gdańska 131 pismo tej treści:**

„Zgodnie z zarządzeniem Prezesa Głównego Urzędu Gospodarki Wodnej z dnia 30 5 1967 r. w sprawie szerokości stref ochronnych ustalonych dla ochrony powietrza atmosferycznego przed zanieczyszczeniem — strefa ochronna dla „Majedu" winna wynosić 100 m, dla ZPW im. A. Struga — 50 m, dla ZPW im. Bardowskiego — 50 m. Jednocześnie Wydział komunikuje, że w wyniku wizji lokalnej, przeprowadzonej wspólnie ze stacją San.-Epid. dla m. Łodzi stwierdził słuszność skargi lokatorów przy ul. Gdańskiej 131 oraz nie widzi możliwości wykonania przez w/w zakłady takiego zabezpieczenia, aby uciążliwość tych zakładów zlikwidować. W związku z powyższym jedynym rozwiązaniem jest zmiana ugrupowania w/w posesji, tzn., że nie powinna być wykorzystywana na stały pobyt dla ludzi".

Nie ma żadnej wzmianki na temat mieszkańców przy ul. Żeromskiego. Może przeoczenie? Najlepiej sprawdzić na miejscu: trzypiętrowy dom, dwie klatki, budynek trwały, wyposażony w centralne ogrzewanie, kanalizację, łazienki (jedna na piętro) i ubikacje. Mieszkania duże, podzielone z dawnych dużych mieszkań fabrykanckich zajmujących całe piętra. Wspólne są tylko halle-przedpokoje. Sufity wysoko, okna duże, gaz. W spisie lokatorów od frontu 17 nazwisk.

Z rozmów z mieszkańcami wynika, że fabryka chce ich stąd koniecznie wyprowadzić, bo **ma zamiar zrobić biurowiec. A oni wcale nie chcą zmieniać mieszkań.** Może tam jedna czy dwie osoby, bo ktoś wyszedł za mąż, chciałby mieszkać osobno, ale w ogóle, to co za sens przeznaczać taki dobry dom mieszkalny na biura?! Ileż to będzie kosztować taka adaptacja! Tyle instalacji gazowych, urządzenia sanitarne, kuchnie — wszystko trzeba przerabiać.

— Czy mieszkańcy nie są zagrożeni dolegliwościami ze strony fabryki? Wyziewami? Pyłem żelaza z odlewni? — pytam.

— Nie — odpowiadają. — Odlewnia daleko, nawet jej stąd nie widać, a hałas? Troche hałasu jest, jak się chce w dzień spać po nocnej zmianie, to przeszkadza. Ale nikt nie występował ze skargami i o wykwaterowanie. Tu jest lepiej niż w blokach...

* * *

Wydział Gospodarki Wodnej i Ochrony Środowiska Prezydium RN m. Łodzi wystosował 30 czerwca do „Majedu" pismo następującej treści:

„Działając w uzgodnieniu z zastępcą Przew. Prez. m. Łodzi, biorąc pod uwagę warunki zamieszkania stworzone przez ŁFMJ „Majed" okolicznym mieszkańcom — Wydział poleca wykwaterować w pierwszej kolejności lokatorów z budynków przy ul. Gdańskiej 131. W związku z powyższym 14 mieszkań, które zgodnie z umową zawartą w miesiącu kwietniu 1973 r. z ZIM m. Łodzi zostały zakupione przez Fabrykę z zasobów Rady Narodowej w 1973 r., a które wg informacji przedstawiciela „Majedu" przeznacza się dla wykwaterowania lokatorów z ul. Żeromskiego 94a, należy wykorzystać na wyprowadzenie mieszkańców z posesji przy ul. Gdańskiej 131. Na ten sam cel należy przeznaczyć również izby z budownictwa spółdzielczego jakimi zakład może dysponować.

* * *

Wydaje się, że casus „Gdańska 131" zbliża się do ostatecznego załatwienia. Artykuł publikowany w tej sprawie przed rokiem zakończyliśmy zestawieniem tytułów zaczerpniętych z artykułów prasowych na temat ochrony ludzkiego środowiska. Pozwoliliśmy sobie stwierdzić, że środowiskiem mieszkańców posesji 131 przy Gdańskiej są fabryki i one znajdują się pod kapitalną ochroną, a ludzie? Cóż, ludzie — nie szarotki...

W innym nastroju przypada kończyć niniejszą publikację zwracając uwagę na jeszcze jeden niezmiernie ważny szczegół. **List Sekretariatu Komitetu Centralnego PZPR w sprawie odzyskiwania na cele socjalne pomieszczeń zajętych przez administrację — nie został anulowany.** Nigdzie też nie zanotowano jakichkolwiek decyzji i poleceń władz centralnych na temat uzyskiwania domów mieszkalnych na cele biurowe. Obowiązuje w dalszym ciągu i coraz silniej się to podkreśla — zasada gospodarności i należytego wykorzystania przestrzeni biurowych z tendencją do ich ograniczania a nie rozbudowywania molocha biurokracji. A „Majed" ma na cele administracyjne spory pałac. Jeżeli nie wystarcza, to można przystosować na biura kilka mieszkań z... Gdańskiej 131. Tylko czy Inspektor Sanitarny pozwoli?...

ZOFIA TARNOWSKA

NA MORZU

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

Nieważne — naprawdę nieważne ile czasu minęło od tamtego dnia, od momentu, gdy — po czteromiesięcznym rejsie po trzech morzach i dwóch oceanach — schodziłem na gdyńskie nabrzeże po kiwającym się trapie. Ważne są owe — ciągle jak żywe — wspomnienia, kartka od Staszka, list do Tomka przysłany gdzieś z końca świata, pocztówka z Mombasy z mnóstwem nieczytelnych podpisów i wyjaśniającym wszystko postscriptum: „Twoi kumple z „Oleśnicy"..."

Rozrzuciło ich po świecie, zmienili statki, linie, ba niektórzy awansowali lub wzięli na siebie małżeńske obowiązki, ale jest widać coś co pozostało w nas wszystkich z tamtych chwil, skoro tak chętnie wracamy razem do wspomnień zaczynanych w co drugim liście od słów: „A pamiętasz stary...?"

TELEWIZOR Z ŻYWCA

Pamiętam. Jakże bym mógł nie pamiętać. Tyle dni, portów i zdarzeń... Od pierwszego kroku na statku, który na przeciąg czterech miesięcy stał się moim domem, trzeba się było uczyć i przywyknąć do panujących tu obyczajów — np. codziennie rano na śniadanie „jajówa", a w niedzielę na obiad nieodmiennie — kurczak. Należało też opanować szybko bogaty słownik marynarskiej fachowej terminologii, przy pomocy której motorzyści zwykli byli poddawać w wątpliwość nawigacyjne umiejętności „gołębiarzy" i „dzięciołów" czyli ludzi z pokładu, a ci ostatni nie pozostawali dłużni w ocenie przydatności na statku „całej kupy zęzochłapów".

O tym, że statkowy komin nosił nazwę Kapelusza Starszego Mechanika i jako jedyna wystająca na pokład część maszyny otaczany był szczególną czcią (przez motorzystów naturalnie) dowiedziałem się nieco później — podobnie, jak o tym, iż nie należy raczej zwracać się do załogi hotelowej per „parasole" — choć w niektórych sytuacjach marynarze z maszyny i pokładu używali tego określenia z dużym upodobaniem. I chociaż nie dałem się posłać do sterówki po dewiację, ani do maszynowni po klucz do żyrokompasu (a na tę okazję moi egzaminatorzy mieli już przygotowane kilkunastokilogramowe „żelazo") to i tak obowiązkowe frycowe zapłaciłem (w dosłownym tego słowa znaczeniu) bardzo szybko.

Pamiętam, że ledwie zdążyłem obejrzeć kabinę, rozpakować manatki i uchylić z wielkim wysiłkiem okno czyli bulaj, gdy w drzwiach stanął pan w białym kitlu (jak się później okazało — steward kapitański — Kazio K.) i zapytał usłużnie:

— Czy szanownemu panu przynieść może telewizorek?

Zdębiałem. Telewizory w kabinach, na towarowym statku?... Nie — o takim luksusie nie marzyłem i po prawdzie nigdy nie słyszałem. Na wszelki wypadek zamówienie złożyłem jednak natychmiast:

— Jasne. Dawaj pan — co się pan pytasz...

— Się robi — usłyszałem w odpowiedzi i uspokojony zająłem się dokonywaniem dokładnych pomiarów koi przypominającej na pierwszy rzut oka nie łóżko, ale raczej szufladę do spania.

Usłużny pan obrócił z ciężarem bardzo szybko. Jednym stanowczym kopnięciem otworzył drzwi i stanął przede mną trzymając na wydatnym brzuchu... karton żywieckiego piwa.

— Zrobione — powiedział skromnie — ochmistrz przyjmie od pana należność. A może otworzyć od razu ze dwie buteleczki?

W związku z chwilową utratą mowy kiwnąłem tylko przyzwalająco głową, a w czasie popijania z Kaziem pierwszego powitalnego „fula" postanowiłem zapamiętać raz na całe życie, że telewizor na statku oznacza przede wszystkim (bo prawdziwy telewizor też był w mesie) pudło z doskonałym skądinąd piwem.

ROŚLINA Z PIEKŁA RODEM

Następnego dnia steward kapitański zaskoczył mnie jednak ponownie. Było to przy obiedzie, a właściwie już po jego wspaniałościach. Kazio z wdziękiem nie spotykanym np. w łódzkich lokalach gastronomii wielkiej, małej i zupełnie prywatnej, serwował herbatę.

— Jeśli można to poproszę z cytryną — zwróciłem się do Kazia pewny, że tym razem nie spotka mnie żadna niespodzianka.

— Hm... a ja myślałem, że może pan redaktor zechce spróbować „czifowskiej" — powiedział cicho, jakby zawiedziony, Kazio.

— Niech będzie — postanowiłem zaryzykować, by nie popełnić już na wstępie mojej podróży jakiejś głupiej gafy towarzyskiej. A nuż się „czif" obrazi?

„Czif" czyli I oficer usłyszawszy moje życzenie — uśmiechnął się do mnie serdecznie, otworzył usta jakby chciał powiedzieć: „na pewno pan nie pożałuje..." — ale nie zdążył. Kazio — „człowiek-iskra" obrócił bowiem migiem (co się zdarza kelnerom tylko na statkach) — stawiając przede mną szklankę... żółtawej, niemal przezroczystej cieczy. I w ten to właśnie sposób dane mi było spróbować — po raz pierwszy i ostatni zresztą — smaku najmocniejszej — jak bezczelnie uzupełnił Kazio — herbaty jaką tradycyjnie pijał nasz „czif"...

Piłem więc i ja, wolniutko, cieniutką lurę uśmiechając się jadowicie do Kazia gdy ten, utkwiwszy nagle osłupiały wzrok w bulaju wrzasnął z zachwytem:

— O rany! Ale kajak płynie...!

— Gdzie? Co pan opowiada? Jaki kajak? — zawołałem podniecony i niczym burza wypadłem z mesy kapitańskiej na pokład. Byliśmy wszak na pełnym morzu, gdzie obecność kajaka była ewenementem, który... Ale morze było puste — to znaczy całkowicie pozbawione kajaków i tym podobnych jednostek wiosłowych wskazujących na niecodzienne spotkanie „Oleśnicy" z wariatem lub rozbitkiem. Owszem, o paręset metrów mijał nas jakiś olbrzym — na moje oko — co najmniej 100 tys. DWT — jednakże...

— A co, nie fajny kajak — prawda redaktorze? — powiedział słodko i z rozmarzeniem Kazio podchodząc wraz ze mną do burty...

Dopiero później przekonałem się, że Kazio znowu — i jak zwykle — był kryty. Sympatycznie brzmiącą nazwą „kajak" obdarzali bowiem faktycznie co większe frachtowce i „pasażery" niemal wszyscy członkowie załogi.

Między innymi wspomniany tu na początku I oficer dał się poznać załodze i mnie jako dużej klasy gawędziarz, człowiek ciekawy życia i w świecie bywały, co zwykł podkreślać wpadając nagle w zdanie swoim rozmówcom:

— Dobrze, dobrze — a w Końskowoli pan był?

— Nnnie... — odpowiadał zbity z tropu delikwent — ale..

— A widzi pan — triumfował natychmiast „czif" — to nic pan w ogóle nie widział! I nie czekając na protesty lub wyjaśnienia przechodził błyskawicznie do kontrataku czyli niemożliwego zwykle do przerwania wykładu na tematy dowolne.

Starszy mechanik natomiast — człowiek skromny, ujmujący i cichy — mówił raczej mało, choć wiedział dużo, a zdobył mój niekłamany i do dziś nieostygły podziw szczególną zaletą swego organizmu. Był bowiem chory. Nie — proszę mnie źle nie rozumieć naigrawanie się z cudzych przypadłości nie leży zupełnie w mojej naturze, a fakt choroby stanowi po prostu ważki argument na rzecz niezwykłości organizmu Starszego Mechanika. Otóż, niemal od pierwszego dnia rejsu i w sposób wielce dyskretny, narzekał on (zarówno organizm jak i Starszy Mechanik naturalnie) na żołądek. Jadł niewiele, raczej potrawy lekkostrawne, przyjmował w skupieniu jakieś lekarstwa, zamykał się na długie godziny w kabinie, gdzie ofiarnie pracował i — jak się domyślałem — cierpiał...

Ożywiał się jedynie w porach posiłków, ale tylko w tych momentach, kiedy znany już Kazio podawał na stół „czili". Była to szczególnie złośliwa odmiana papryki, zielone maciupeństwo niewątpliwie z piekła rodem — potwornie piekące, palące i marynowane na dodatek przez Kazia w jakiś szczególny sposób potęgujący jeszcze ludobójcze właściwości tej strasznej rośliny. Jednym słowem rzecz niebezpieczna — szczególnie dla kogoś kto, jak ja na przykład, nie znał właściwości „czili". Opinię II oficera iż „przeczyszcza ona gruntownie nie przerywając snu.." należałoby uznać za wielce uzasadnioną. Kazio uraczył mnie raz tym świństwem reklamując „czili", jako szczególnie pyszne, argentyńskie pikle, po czym bez żenady służył mi judaszowym ramieniem, kiedy czerwony, spłakany, duszący się od kaszlu próbowałem dotrzeć do swojej kabiny.

I oto — proszę państwa — właśnie nasz Starszy Mechanik — biedny, chory na żołądek człowiek — był tym który pokonał „czili". Bez cienia lęku na twarzy układał paprykę warstwami na kanapce po czym z rzadkim i przerażającym wszystkich obserwatorów apetytem zjadał porcję, która — jak sądzę — mogła by zabić słonia. Ba, jedząc uśmiechał się nawet wdzięcznie do otoczenia, nie wyłączając dostawcy „czili" — czyli Kazia.

Ale trudno pisać o stewardzie kapitańskim nie wspominając ani słowem (z należytym rzecz jasna szacunkiem) o naszym „Pierwszym po Bogu".

Otóż kapitan „Oleśnicy", który prowadził naszą nawę przez ponad 40 tys. kilometrów, omijając starannie mielizny, rafy, tudzież piratów na Morzu Czerwonym, miał wielce interesujący zwyczaj zamykania, przetykania bądź otwierania fragmentów wypowiadanych przez się zdań zwrotem: „Jak się nazywa?..." Jestem przekonany, że słynne „znaczy" kapitana Mamerta Stankiewicza nie wytrzymuje konkurencji z jakże intrygującym powiedzonkiem dowódcy „Oleśnicy".

Wraz z lekarzem okrętowym odbywającym właśnie na „Oleśnicy" swój dziewiczy rejs słuchaliśmy kapitańskich przemówień jak oczarowani, gustując szczególnie w wypowiedziach: „mała naprzód — jak się nazywa — dziesięć stopni w prawo — jak się nazywa — tak trzymać..." Pewnego dnia nieopatrznie zwróciliśmy jednak kapitańską uwagę na siebie i nasze hobby. Było to w chwili, kiedy podczas jakiegoś opowiadania kapitan oświadczył: „...więc mówię panom, że moja żona — jak się nazywa..."

I wtedy nie wytrzymaliśmy — służąc kapitanowi natychmiastową informacją:

— PASZKIEWICZ! — panie kapitanie — Paszkiewicz...

„PAMIĘTASZ, STARY?"

— PAMIĘTAM. Jakże bym mógł nie pamiętać... Tyle wspólnych wypraw w zaułki afrykańskich portów, wieczorów spędzonych na rufie z wędką i nadzieją na pierwszą w życiu własnoręcznie złowioną barrakudę, tyle godzin spędzonych na rozmowach o wszystkim — o życiu, o domu, a także o egzotycznych dziewczynach z Bangkoku... W tych wspomnieniach liczy się wszystko — po społu zjedzone „niedzielne" kurczęta, wypite razem kwaśne, czerwone wino podawane tradycyjnie do obiadu po wejściu statku w tropiki, ba nawet ten wspólny strach w małej uliczce na przedmieściu Mombasy, kiedy to wybraliśmy się by podziwiać „hindu — women", a zastaliśmy... Mniejsza o to. Ważne, że mogę wreszcie prywatnie podziękować za cierpliwość tym wszystkim, którym przyszło odkrywać przede mną blaski i cienie marynarskiego żywota. Pokłonić się z miasta Łodzi garstce znanych mi z bliska i bliskich sercu marynarzy polskiej floty — chłopców do tańca i do różańca, o których ciągle pamiętam i niech mnie rekin pożre jeżeli miało by stać się inaczej...

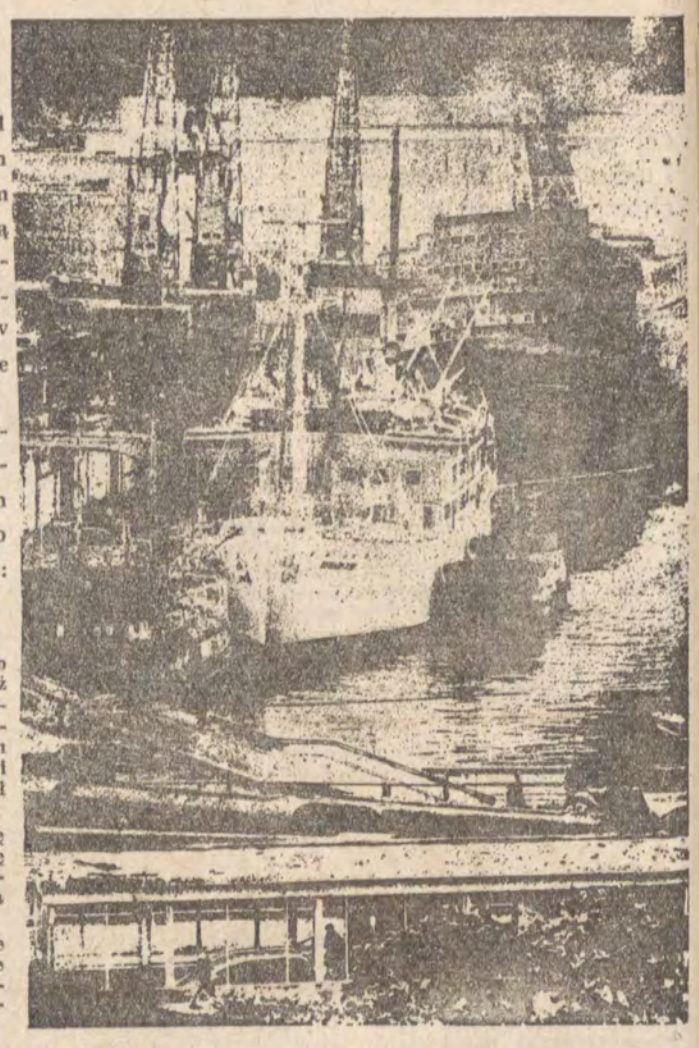

Wspomnienie

Wojciech Kossak to już cała legenda polskiej kultury. Jest więc niebywałą atrakcją, że wydobyto z archiwów rodzinnych i wydano jego pasjonujące „Wspomnienia". Ten słynny malarz-batalista autor „Olszynki Grochowskiej", „Sowińskiego na szańcach Woli" i setek innych znanych obrazów — okazał się znakomitym gawędziarzem, równie dobrze władającym piórem, jak pędzlem. Umie opowiadać o swoim urozmaiconym życiu, o podróżach, spotkaniach z ciekawymi ludźmi.

„Dobre jedzenie, piękne kobiety, rasowe konie, podobnie jak parady wojskowe czy egzotyczne podróże — wszystko to opisuje Kossak z pasją i temperamentem człowieka, którego życie nie zmęczyło, goryczą ani żółcią krwi nie zatruło" — napisał na wstępie Kazimierz Olszański.

Zabytków literatury pamiętnikarskiej z dziedziny sztuki mamy niezbyt wiele. „Wspomnienia" Wojciecha Kossaka wyróżniają się na dodatek swoimi walorami literackimi. Tak jak narzucał Kossak swoje wizje historyczne jako malarz polskiej historii — tak w tym pięknym dziele stworzył fascynujący obraz epoki w której żył. We „Wspomnieniach" znajdziemy wprost kopalnię materiału do poznania przełomu wieków XIX i XX — atmosfery tych lat, niepowtarzalnego klimatu duchowego, obrazy ludzi i wydarzeń. Jest wreszcie w tej książce mnóstwo przepysznych anegdot i dykteryjek co atrakcyjność „Wspomnień" Kossaka jeszcze bardziej podnosi.

Wojciech Kossak „Wspomnienia" Wyd. PAX — 1973.

POWIEŚĆ POLICYJNA

O autorach „Śmiejącego się policjanta" mówi się, że są mistrzami powieści kryminalnej dorównującymi Agacie Christie. Bardzo wielki to komplement, choć porównanie nietrafne. Agata Christie reprezentuje bowiem gatunek powieści kryminalnej, w rodzaju matematycznej szarady. Inaczej owa szwedzko-duńska para.

„Śmiejący się policjant" jest bowiem powieścią „policyjną". Z wykryciem zbrodniarza nie boryka się genialny detektyw lecz zespół — cały policyjny aparat składający się z ludzi zwykłych, często zmęczonych, omylnych i wcale nie genialnych.

A jednak ten zespół zwykłych ludzi rozwiązuje zagadkę, której na tzw. zdrowy rozum rozwiązać się nie da. Bohaterowie powieści, powoli i żmudnie dochodzą wreszcie pod dom mordercy. Mnóstwo jest na tej drodze trepów fałszywych, wiele nieistotnych poszlak — a jednak zbiorowym wysiłkiem zespołu zbrodniarz zostaje ujęty.

Gatunek tzw. powieści policyjnej jest dość bogato reprezentowany w polskiej literaturze sensacyjnej. Trzeba jednak przyznać, że najczęściej są to bardziej lub mniej zbeletryzowane akta konkretnej sprawy. (Wyjątek stanowi „Świat się kończy" Rowińskiego).

Na konto szwedzko-duńskiej pary autorskiej trzeba zapisać natomiast, że obok sensacyjnej fabuły, obok obrazu policyjnego śledztwa — pokazali współczesny Sztokholm, miasto, ludzi, problemy współczesne, dzisiejszą obyczajowość... Słowem, że napisali książkę o współczesnej Szwecji. Fakt, że jest książka sensacyjna dodaje jej tylko atrakcyjności.

Maj Sjowall i Per Walnoo „Śmiejący się policjant" Czytelnik, 1973.

KSIĄŻKA O KUBIE

O Kubie napisano wiele książek — wielu pisarzy fascynował ten kraj, którego ster ujęła w ręce grupka młodych rewolucjonistów pod wodzą Fidela Castro. Bodaj pierwszym, który doszedł ów fenomen kubańskiej rewolucji był J. P. Sartre, pisząc swój słynny „Huragan nad cukrem". Pierwszym natomiast Polakiem, który napisał o Kubie książkę był Tadeusz Breza, autor „Listów nawańskich". Potem posypały się dalsze publikacje — dziś biblioteczka z hasłem „Kuba" jest bardzo pokaźna.

Mamy już nawet specjalistów od spraw kubańskich, dziennikarzy, którzy lata całe spędzili na tej wyspie, fachowców z różnych dziedzin życia gospodarczego przebywających tam w charakterze ekspertów...

Niedawno Barbara Nawrocka wydała książkę o Kubie pt. „Jak wulkan gorąca..." — nawiązując tym tytułem do popularnej u nas przed laty piosenki. Autorka przeżywała na Kubie miesiąc zaledwie, ale przejechała ją wzdłuż i wszerz, odwiedzała wioski i uniwersytety, fabryki i gospodarstwa rolne... Z tej podróży skomponowała coś w rodzaju filmu — bardzo potoczystą, dość nerwową narrację — opowieść.

Myślę, że z tej konfrontacji z publikacjami specjalistów, którzy Kubę znali dłużej i lepiej — wyszła Nawrocka zwycięsko. Po prostu dlatego, że jest pisarką umiejącą patrzeć, że posiada umiejętności mądrej refleksji. Ale także dlatego, że opisała nam Kubę „pierwszego wrażenia", że ów miesiąc szalonej podróży po wyspie i jej problemach — był właśnie pierwszą fascynacją pisarską tą daleką wyspą. Jest takie powiedzenie, że najlepiej można opisać miasto będąc w nim jeden dzień, albo... dwadzieścia lat. Myślę, że ta stara dewiza da się zastosować także do kraju. W każdym razie książka Nawrockiej jest tego dowodem.

J. WIL.

Barbara Nawrocka „Jak wulkan gorąca" Wyd. Czytelnik.

„TRUCIZNA KRÓLEWSKA"

Powszechnie znane są powieści historyczne A. Dumasa z nieśmiertelnymi „Trzema muszkieterami" na czele, barwnie obrazujące epokę Ludwika XIV.

Od pewnego czasu, dzięki cyklowi „Królowie przeklęci" mamy okazję zapoznać się z Francją I połowy XIV w. — okresem panowania ostatnich Kapetyngów. Ukazały się już „Król z żelaza", „Zamordowana królowa" i ostatnio „Trucizna królewska", w planie są jeszcze 3 tomy.

Autor — Maurice Druon — to jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy francuskich, wyróżniony szeregiem nagród literackich (m. in. Goncourtów), znakomity historyk wykorzystujący stare kroniki i inne źródłowe dokumenty epoki. Dzięki temu z jednej strony osiąga dużą wierność faktom historycznym, z drugiej zgodnie z definicją D. Ropsa „Historia jest zawsze wiedzą opartą na domysłach", którą przyjął jako motto, stara się odtworzyć motywy działania swych bohaterów.

Będąc jednocześnie wnikliwym psychologiem, a także posiadając żywą wyobraźnię i szeroką erudycję M. Druon potrafił stworzyć niezwykle plastyczny i barwny obraz jednej z najburzliwszych i najciekawszych epok w historii Francji.

W powieści „Trucizna królewska" przedstawił krótki, bo zaledwie dwuletni, okres panowania Ludwika X Kłótliwego, najstarszego syna Filipa Pięknego. Nie był to władca wielkiego formatu. Zgodnie z przydomkiem warchoł, do tego ignorant, zupełnie nie był predestynowany do takiego stanowiska i też o nie zupełnie nie dbał. Uwikłany w zbrodnicze intrygi zostaje otruty.

Niezwykle atrakcyjnie i interesująco przedstawiona historia sprawia, że z niecierpliwością oczekujemy na tom następny.

A. N.

Maurice Druon — „Trucizna królewska". Wyd. Literackie 1973 r.

Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (11)

— Proszę cię — znów się odezwałam.

Usłyszałam trzask zapalniczki i zapach dymu z papierosa.

— Był jej kochankiem — powiedział Gordon.

— Aha — szepnęłam ze zrozumieniem.

Gordon roześmiał się.

— Jesteś bystra, Selino D'arcey! — Znów się zaśmiał. Poczułam się głupio, byłam zawstydzona.

— Czemu się śmiejesz? — mój głos miał głębokie brzmienie.

— A–a–ha — naśladował mój głos. — Pozwól mi się pośmiać. To zabrzmiało tak mądrze, tyle w tym było doświadczenia, ty dzieciaku! Gordon uważał, że ja się zgrywam. A ja się nigdy nie zgrywam. Powinien mi okazać... powinien mi okazać więcej tolerancji.

— Nie jestem dzieckiem, Gordonie — rzekłam, a mój głos nie brzmiał chyba nigdy tak dźwięcznie. — Jestem upadła. Już mnie zgwałcono — wyznałam.

— Coś ty powiedziała? — Zadał mi to pytanie takim tonem, jakbym mu nagle wyznała, że zabiłam wczoraj i pana Fabera i Znajdka. Musiałam powtórzyć jeszcze raz.

Gordon nie odezwał się słowem. Czyżby się śmiał pod nosem? Uważa, że się zgrywam?

— Gordon? — zagadnęłam.

Milczał. Na pewno myślał, że kłamię, że się popisuję. On mną pogardza.

Opowiedziałam mu znów o Rose-ann i Harrym. O Rose-ann i jej przyjacielu. I o tym, jak on zamknął Rose-ann w korytarzu. Prosto i zwyczajnie wyznałam Gordonowi o sobie i przyjacielu Rose-ann tamtej nocy.

W dalszym ciągu nie odzywał się. Co się stało?

— Czy może źle się czujesz, Gordonie? — spytałam.

Zrobiło mi się nieswojo. Niedobrze, jak ludzie nie odpowiadają niewidomemu.

— Czy źle się czuję? Nie — odparł Gordon.

Zbyt często sama płakałam, żeby nie poznać po głosie, jak ktoś płacze. A Gordon płakał. Wiedziałam, że mężczyźni rzadko płaczą. Słuchałam w radio tyle sztuk dramatycznych, opowiadań..." A John z głową ukrytą na kolanach Weroniki wypłakiwał straszne łzy silnego mężczyzny..."

Nie dalej jak w zeszłym tygodniu podczas półgodzinnej audycji „Wiara na co dzień" pastor powiedział: „I Pan Jezus płakał".

Jezus był mężczyzną, kiedy żył na ziemi.

W radiowym słuchowisku John płakał, bo był niewierny Weronice i ona to wykryła.

Jezus płakał, bo kochał — bo stracił przyjaciela.

A dlaczego Gordon płacze? Czyżby ukłuł się w palec? Wiem, że to boli jak diabli, kiedy igła wejdzie głęboko.

— Czyś się ukłuł w palec, Gordonie? — spytałam. — I dlatego płaczesz?

— Tak.

— To trzeba wyssać! — wykrzyknęłam. — Od razu i porządnie!

— Dzięki! Zrobię tak — powiedział. Ale nie zrobił. Nic nie słyszałam.

Przykre, że się ukłuł, ale w pewnym sensie ucieszyłam się, że będę mogła się nareszcie przekonać, czy to jest rzeczywiście prawda, że łzy smakują jak sól... „Słone łzy spływały po gładkich policzkach Weroniki..."

— Przepraszam cię, Gordonie — odezwałam się. — Ale przez to, że kwas wypalił mi oczy, kiedy płaczę, nie lecą mi wcale łzy. Czy możesz mi dać jedną twoją łzę?

— Na miłość boską, a po co ci? — zdumiał się Gordon.

Czyżbym źle zrobiła, prosząc go o to?

— Nigdy jeszcze nie czułam smaku łez. A tyle o nich słyszałam. Czy masz coś przeciwko temu?

— Skądże? — wykrzyknął. — Proszę, o tutaj!

Gordon nigdy dotąd mnie nie dotykał. I ja tego też nie robiłam. Teraz prowadził moją rękę po twarzy, żebym mogła schwycić jedną z łez. Miał silną i bardzo przyjemną dłoń.

Byłam zdumiona. Myślałam, że łzy to małe kryształki jak sól. A to woda!

— To prawdziwa łza? — spytałam.

— Prawdziwa... oczywiście.

Nim moja ręka zdążyła wyschnąć, polizałam ją.

— Tak, to prawda — przyznałam.

— Na Boga, co ty robisz? — wykrzyknął Gordon. — Co jest prawdą

— To, że łzy smakują jak sól — roześmiałam się.

— Oczywiście — powiedział. — Oczywiście... dziewczyno o czystym sercu.

Śmiałam się uszczęśliwiona. Byłam dziewczyną o czystym sercu. Wywioskowałem z jego głosu, że taka dziewczyna musi być wspaniała.

— Czy pamiętasz, Selino, tę chińską piosenkę, którą ci wczoraj recytowałem?

— Oczywiście — odparłam. I na dowód, jak dobrze pamiętam, zaczęłam mówić słowa piosenki.

Zakończyłam z dumą. W ostatnich dniach stale byłam z czegoś dumna.

— Znałaś ją przedtem — stwierdził Gordon.

— To znaczy, kiedy przedtem?

— Słyszałaś ją... ten wiersz... musiałaś już słyszeć kiedyś...

— Nie. Mam świetną pamięć.

— Zawiodłem cię z nawlekaniem koralików. Będziesz się na mnie gniewać.

— Nie mogę się na ciebie gniewać — powiedziałam i znów zaczęłam się śmiać, gdyż po raz pierwszy w życiu ktoś do mnie powiedział: „Będziesz się na mnie gniewać". Rose-ann tyle razy mówiła:

„Jestem wściekła, porządnie wściekła na ciebie, Sleena." Sleena? Kto to jest Sleena? Nie ja. Ja się nazywam Selina.

Przez chwilę razem nawlekaliśmy koraliki. Pracowaliśmy pilnie. Gordon nie był wcale takim niedołęgą w nawlekaniu koralików.

Czy to w porządku, zastanawiałam się, być tak szczęśliwą, tak po prostu, zwyczajnie szczęśliwą jak ja? Mam nadzieję, że tak. Ale jak się ma za dużo czegoś, może się to okazać niebezpieczne. Toteż usiłowałam nie czuć się tak bezbrzeżnie, szaleńczo szczęśliwa. Tylko troszkę szczęśliwsza niż przedtem.

— Co mamy dzisiaj na lunch? — spytałam tym swoim zbyt radosnym głosem.

— A jak przypuszczasz, panieneczko? — z kolei Gordon zadał mi pytanie.

— Co przyniosłeś?

— Polską kiełbasę i niemiecką sałatkę z kartofli. Chciałabyś popróbować zimnej sałatki i pokrojonej kiełbasy?

— Czy chciałabym? Jeszcze jak! — wykrzyknęłam. Po czym oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

O trzeciej nawlekliśmy już dosyć sznurków. Zjedliśmy lunch. Omal się nie rozpłakałam podczas jedzenia. A to dlatego, że Gordon powiedział:

— Pomalutku, kochanie! Nie jedz tak zachłannie. Właśnie wpadł ci do jedzenia taki mały, dziwny, zielony robaczek! — Wyrzucił to, co zamierzałam zjeść i dał mi świeżej sałatki. I znów omal się nie rozpłakałam. Ale stwierdziłam, że jestem zbyt szczęśliwa, żeby nawet płakać ze szczęścia.

— Trzecia godzina! — wykrzyknął Gordon. Usiadł na trawie pytając:

Kto drzemać chce ze mną,
Gdzie strumień ten płynie,
Pieśń nucić przyjemną,
Jak ptaszek w gęstwinie...

— Ja chcę. Och, ja chcę!

Nie mówiliśmy wiele. Skorzystałam ze sposobności, żeby spytać Gordona o kilka drobiazgów, ot takie głupstewka, które zawsze mnie ciekawiły, jak na przykład:

— Co to właściwie jest cień? — Nareszcie to zrozumiałam. Mój cień był zawsze taki, jak sobie Rose-ann życzyła, myślałam, że to część mnie. Teraz już wiem, co to jest cień. Pytałam go o dziesiątki podobnych rzeczy.

Potem znów siedzieliśmy w milczeniu. Przemyśliwałam to wszystko, czego się dowiedziałam. Byłam zadowolona, że milczymy.

Następnie Gordon zaczął mi zadawać pytania. Pytał o dziadka, Rose-ann, o mieszkanie. O Sadie. Słuchał tak, jakby rzeczywiście był bardzo zainteresowany wszystkim, co dotyczy mojego życia. Powiedziałam mu też wszystko.

Poczułam się wolna jak ptak. Poprosiłam Gordona, żeby mnie przeprowadził te czterdzieści kroków, gdzie można umyć ręce, etc., etc. Czekał, chcąc się przekonać, czy nikogo tam nie ma, a może dlatego, żebym czasem nie popełniła jakiegoś głupstwa. Z łatwością sobie poradziłam. Czułam się świetnie.

Czwarta! Została nam tylko godzina!

— Chmurzy się — powiedział Gordon. — O której przychodzi po ciebie dziadek?

— Chmurzy się? — spytałam.

— Tak. Pewnie będzie burza. — Burza! Jedyne, czego się naprawdę bałam, to burzy. Bałam się panicznie. Kiedy była burza, chowałam się pod łóżko. Jakże mogłabym przebywać na dworze w czasie burzy?

— A kiedy będzie ta burza? — spytałam. I chociaż tak chciałam, nie udało mi się zapanować nad drżeniem głosu.

— Co się stało? Boisz się burzy?

— Boję? Kto, ja? — zdziwiłam się.

Dalszy ciąg nastąpi

2

Telefonować pod numer...

Syndykat bezzwłocznie przystąpił do pracy. W niespełna dziewięć miesięcy przemycono do Stanów Zjednoczonych około jednej tony heroiny! W pierwszych dniach lutego 1968 roku członkowie podziemnego syndykatu zebrali się ponownie, tym razem w luksusowym hotelu w Rio de Janeiro. Należało zbilansować pierwsze pokłosie jego działalności. Z Buenos Aires wylatywało samolotami linii pasażerskich piętnastu kurierów tygodniowo. Zdarzało się nieraz, że jednym kursem przybywało do Stanów Zjednoczonych po pięciu kurierów. Kontrolerzy — obserwatorzy odłożyli już na konta w bankach szwajcarskich blisko dwa miliony dolarów. Przemyt odbywał się sprawnie i bez zahamowań.

Mimo sceptycznego stanowiska Waszyngtonu, Sully zdobył jednak zezwolenie na kontynuowanie śledztwa bez oficjalnych podstaw. Inspektorzy biur imigracyjnych w amerykańskich portach lotniczych otrzymali polecenie wyławiania osób, próbujących zatrzymać się w USA na podstawie wiz turystycznych, wydanych w Buenos Aires.

Skutki tego posunięcia okazały się owocne. Już w początkach września 1968 roku, w porcie lotniczym Averglides, w stanie Floryda, amerykańska policja aresztowała trzech kurierów z dwunastoma kilogramami heroiny. Wszyscy aresztowani posiadali wizy turystyczne, wydane w Buenos Aires. W październiku, w Bostonie, wpadł w ręce policji inny kurier, z trzema kilogramami heroiny i też z wizą turystyczną. A w pierwszych dniach listopada policja kanadyjska ujęła w międzynarodowym porcie lotniczym Dorvalle, w Montrealu, jeszcze dwóch kurierów — męża i żonę, próbujących przemycić 16 kilogramów heroiny w walizkach z podwójnym dnem.

Śledztwo posuwało się żółwim krokiem. Była to swego rodzaju zabawa w ciuciubabkę: próba „wymacania" nieznanych przeciwników, działających o tysiące kilometrów. Jedynym kluczem do wykrycia tajemnicy były notatki, znajdowane w kieszeniach aresztowanych kurierów. Ich treść, mimo że nader mglista, pomogła do wyjaśnienia związku między mnóstwem nazwisk i pewnym adresem w Buenos Aires oraz tajemniczą willą w Rzymie albo w Madrycie.

Każde nowe nazwisko i adres nanoszono na specjalnie opracowany schemat. Stopniowo zaczęły się zarysowywać wyraźne prawidłowości. Na przykład niektóre nazwiska pojawiały się z podejrzaną częstotliwością w spisach pasażerów tych tras komunikacji lotniczej, którymi kurierzy latali do Stanów Zjednoczonych. Czy mogło to być zwykłym przypadkiem?

— To są kontrolerzy — zaopiniował Sully. — Pilnują, żeby heroina trafiła do miejsca przeznaczenia.

W portfelu Andge Lucarottiego, oraz w rzeczach kilku innych kurierów, znaleziono ten sam adres: restauracja „El Sol", Buenos Aires.

W końcu 1968 roku Sully i Coyn podsumowali dotychczasowe wyniki swojej akcji. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie aresztowano ogółem 21 kurierów. Były to prostytutki, złodzieje kieszonkowi i pospolici chuligani. Z paszportów wynikało, że wielu spośród nich było już w USA kilkakrotnie. Agenci dokonali podsumowań arytmetycznych. Pomnożywszy ilość heroiny, znalezionej przy każdym kurierze w momencie aresztowania, przez liczbę ich przyjazdów do USA, Sully i Coyn otrzymali przerażający wynik: 582 kilogramy czystej heroiny w niecały rok! Na czarnym rynku kosztowało to 145 milionów dolarów...

Analiza neutronowa, przeprowadzona na żądanie Sully'ego, potwierdziła jego przypuszczenia: heroina znaleziona przy Lucarottim ma identyczny skład chemiczny, co i partia heroiny, pochodzącej z Paryża, a skonfiskowanej w Nowym Jorku w lutym 1968 roku. Biorąc to za punkt wyjścia, Sully doszedł do wniosku, że laboratoria produkujące ten narkotyk nie znajdują się w Buenos Aires. Nagle wszystko stało się jasne: żeby dobrać kurierów i kontrolerów, nieznanych amerykańskim agentom, ktoś stworzył organizację przemytniczą w Ameryce Łacińskiej, ale dostawcy narkotyków pozostali ci sami — z Zachodniej Europy.

Sully zapalił papierosa i zasiadł przed schematem, który przekształcił się już w pajęczą sieć powiązanych z sobą nazwisk, tras przelotu samolotów i przeróżnych punktów. Trwało to dość długo.

— Do diabła — powiedział wreszcie. — Przeczytajmy jeszcze raz, ale cholernie uważnie, to pismo od policji z Buenos Aires.

Przez dobrą chwilę trzymał w ręku czterostronicowy komunikat, który w lipcu przesłał mu dyrektor wydziału śledczego argentyńskiej policji kryminalnej. Komunikat zawierał informacje o przestępcach narodowości francuskiej, którzy do 1957 roku ciągnęli krociowe zyski z sieci domów publicznych w Argentynie.

Sully odwrócił stronę.

— Zamieniaj się w słuch Ed — powiedział do Coyna. — Tu jest adres restauracji „El Sol": Buenos Aires, Olivos, Marconi, 380. I jeszcze coś ciekawego: przez pewien czas była ona własnością przestępcy z Francji o nazwisku Augusto Jose Ricorde. Ale to nie wszystko, posłuchaj dalej: Augusto Jose Ricorde urodził się 26 kwietnia 1911 roku w Marsylii. Znany także jako Andre Cory, Lucien Dargelle i Lucio Mario Dargellesse. Poszukiwany przez policję francuską za rabunek z bronią w ręku i zdradę stanu, a przez policję wenezuelską za handel żywym towarem...

Coyn ustawił cyfrowy szyfr na zamku kasy pancernej i otworzył ciężkie drzwi. Wyjął z niej szarą teczkę, przerzucił kilka stron i podał ją Sully'emu.

Dalszy ciąg na str 7

CHLEB NA KAŻDYM STOLE

Dalszy ciąg ze str. 1

dział pracy, po czym trzasnął zieloną tyrolkę na stół i spytał, o co idzie. Powiedziałem, że o żniwa, na co otrzymałem wyjaśnienie, że cały areał rzepaku (18 ha) został już ścięty, wymłócony i odstawiony do punktu skupu.

Dyrektor Pruszkowski nie bujał (wszystko, co jeszcze później powiedział, było szczerą prawdą), albowiem wcześniej z przezorności, rozmawiałem na ten temat z brygadzistą polowym, jedną pracownicą z chlewni oraz z robotnikiem, którego zapomniałem zahaczyć o wykonywaną czynność.

Długów ma jeszcze swoje włości w odległej o 25 km Markówce, razem do sprzątnięcia jest 115 ha żyta, 48 ha pszenicy, 30 ha jęczmienia oraz 34 ha owsa i mieszanek. Ze względu na dobrą klasę gleb nic jeszcze z żyta nie sprzątnięto, dojrzeje ono bowiem za 4 dni.

Rozejrzałem się wokół niefachowym okiem i stwierdziłem, że żyto jest jeszcze zielonkawe.

— Przy sprzyjającej pogodzie — powiedział dyr. Pruszkowski — jesteśmy w stanie wszystko zboże sprzątnąć w ciągu 12—16 dni, mamy bowiem do dyspozycji 3 „Visturle" i jednego „Bizona". Kombajny te, zaopatrzone w specjalne podbieracze, poradzą sobie z każdym wyległym zbożem.

— A nie ma kłopotów z ludźmi?

— Chyba te, że wskutek braku mieszkań musimy dowozić ludzi do odległej Markówki. Pracowników stałych, czyli dochodzących, jest mało. Mamy świetnych ludzi. Zawsze mogę liczyć na mechanika T. Zielińskiego i kombajnistę J. Kardasa, którzy podczas ubiegłorocznych żniw, gdy nie było rosy, pracowali także w nocy.

Dowiedziałem się jeszcze, że część maluchów przebywa w przedszkolu gminnym, pozostałe znajdą opiekę pod ręką specjalnie wyznaczonej przez dyrekcję pracownicy i że PGR zawarł umowę z GS w Dłutowie na dostawę wód gazowanych i mineralnych dla pracowników. A gdyby zabrakło produktów żywnościowych, zwłaszcza mięsnych?

— Wtedy — mówi dyr Pruszkowski — też znajdzie się rada. Posiadam specjalne zezwolenie, na mocy którego wyciągam z chlewni wieprza, rzeźnik wali go w łeb i sprzedaje mięso pracownikom...

Pełen otuchy, zwłaszcza na widok gotowego do akcji, wielkiego czerwonego „Bizona", ruszyłem w dalszą drogę.

W ROŻNIATOWICACH

Przejaśniło się trochę, po bokach drogi, częściej widać było mendle żyta, niektóre już oborane. I tak wkroczyłem na teren **powiatu bełchatowskiego**, gdzie na chybił trafił wpadłem do wsi **Rożniatowice**, która niegdyś znana była z działalności społecznej, damskiej drużyny OSP i prężnej organizacji ZMW. Ostatnio jednak w Rożniatowicach coś się popsuło. Bo dyrektora szkoły, który z uporem budował ją przez wiele lat (teraz będzie zlikwidowana), a który za pięć lat pójdzie na emeryturę, zastałem przy budowie komórek. Pomagali mu w czynie społecznym **sołtys Karbownik** i jeszcze jeden młody rolnik. I oni tak zawsze, we trzech pracują społecznie. Sołtys wybierał się w południe do koszenia żyta, ale znów lunął deszcz, przeto po obywatelsku wykorzystywał wolny czas.

Jak się okazuje, w Rożniatowicach, chociaż gleby nie najlepsze, skoszono dotychczas około 20 proc. żyta. To mało.

— Dlaczego tak mało? — spytałem.

Zeszło się sporo ludzi, posypały się wypowiedzi.

— Na razie się podkasza pod snopowiązałki.

— Wczoraj było słońce, to kośba szła. Przyszły dwie maszyny z Bujen Szlacheckich i z Rasów.

— A w Rożniatowicach nie ma kółka rolniczego?

— Jest, tylko że snopowiązałki zepsute, a na 8 traktorów — cztery czynne, z reszty pozostały koła, które leżą w różnych kątach „na bazie". Zardzewiała też mleczarnia, bo całą zimę stała na dworze, nawet snopkiem słomy nie przykryta.

— Jest u nas siedem gospodarstw, na których siedzą ludzie starzy, potrzebujący pomocy, jak J. Stołowczyk, Stanisław Kilańczyk, samotna wdowa, czy Teodor Markowiak. Męczą się pomalutku przy kosie, bo prezes kółka F. Kociszewski żąda przedpłat za robotę, której nie wykonał, a ludzie nie zawsze mają pieniądze.

— W każdej gminie — mówię kółka miały stawać w pierwszej kolejności do pracy u takich ludzi. A co z tą pomocą koła ZSMW?

— Koło też się rozsypało! Bo gospodarz, który wynajmował pomieszczenie na „Klub Rolnika", dał młodziakom wymówienie. Jeden, co pozostał członkiem ZSMW, ma kupę ziemi i wpierw musi u siebie wyrobić się z żniw, więc pomocy dla starych nie ma. Młodzieżowcy trzymaliby się kupy, ale inny gospodarz, któremu dano pieniądze na urządzenie klubu, kupił sobie 2 krowy i teraz czuwa nad nim prokurator.

Ładne huki, myślę sobie, i nie dziwię się już wcale, kiedy młoda dziewczyna, sklepowa z Rożniatowic, mówi z płaczem, że kiedyś wpadł „Sanepid" i wtrynił jej grzywnę za nieodmrożenie lodówki. A ona nie była przeszkolona, nie wiedziała, co trzeba robić przy tej lodówce. Teraz wpakowali jej starą śmierdzącą słoninę, na którą brakło nabywców. Wyrzucona do komórki słonina śmierdzi coraz bardziej, GS nie chce jej odebrać. Rożniatowicom grozi epidemia, a sklepowej utrata marnej pensji.

— Proszę pana — przekrzykują się gospodynie — **czy to jest w porządku, żeby do nas przywożono zebrany po innych sklepach stary chleb? Albo też wręcz surowy? Nas to g... obchodzi, że oni uruchamiają nową piekarnię!**

— Chleb przywozi się do nas trzy razy w tygodniu, i to na jakieś 800 ludzi, bo kupują ci z Woli Rożniatowskiej, Marszynic i innych wsi.

—Panie, przy robocie w polu — wywodzi jeden z rolników — **na pragnienie i odprężenie przydałoby się choć wino. Ale i tego nie ma, nie mówiąc o piwie czy oranżadzie. Przed żniwami jeszcze trochę przywozili, ale teraz?...**

Po wysłuchaniu tych opinii nasunęło mi się następujące pytanie:

Szanowny Prezesie GS w Drużbicach, kiedy wreszcie skończy się ten bajzel? Są żniwa, jest walka o chleb, a wy sobie bimbacie. Chyba nie zaprzeczy Pan, Prezesie, że już w toku kampanii żniwnej dostarczyliście do Rożniatowic tylko 50 puszek konserw, w tym większość rybnych, które poszły w ciągu kwadransa, a teraz półki świecą pustkami. Czy tak być powinno, Prezesie?...

Dyrektor szkoły powiedział mi jeszcze, że w Rożniatowicach chciano założyć dziecińiec (nauczyciele są na miejscu), lecz zabrakło chętnych. No, jasne, lepiej malców zatrudnić w polu, niźli odprowadzać do tego dziecińca. Ale wiele małych dzieci zostanie w domu i jak się coś skopci, to będzie lament!

Z Rożniatowic wyjechało mi się na czarno. Miałem w uszach jeszcze wiele uwag, m.in. te, że jak się w snopowiązałce skrzywi ośka od jednego ubijacza, a obsługujący nie może tego zauważyć, to całą maszynę szlak trafił. I że części zapasowe są, lecz bierze się potrzebne i niepotrzebne w równych ilościach, a stąd jedne leżą bezużytecznie, drugich zaś brak.

A do kosy ludzi trudno wynająć, choć kosiarz z pobieraczką biorą na dzień trzystówy plus wyżywienie. Stary Kosecki chodził, prosił, lecz nie znalazł chętnych. Mimo to niektórzy kalkulują, podając przykłady, że dziś lepiej wziąć do żniwa kosiarza, aniżeli maszynę. Wszystko jest względne, czasem przeciwstawnym figlom pogodowym tyko kosa może stawić czoła.

WJEŻDŻAJĄC W PIOTRKOWSKIE

Powtórnie zostałem nadziany otuchą, wyjeżdżając w **Piotrkowskie**, kiedy to spotkałem na drodze dążące do pól trzy „Vistule", liczne kosiarki konne, chłopów z kosami na ramieniu i ujrzałem stojące po bokach drogi mendle żyta, lub wiązki leżące na ściernisku, jeszcze nie powiązane.

Kierownik Wydziału Rolnictwa Leśnictwa i Skupu PPRN w Piotrkowie, **Władysław Urbaniak**, poinformował mnie, że:

— Do dnia dzisiejszego skoszono 60 proc. żyta w powiecie, i to bardzo sprawnie. Są kłopoty z brakiem płócien do snopowiązałek. Interweniujemy gdzie się da, ponieważ wskutek „mokrej" pogody, płótna bardzo szybko się niszczą. Mimo to, jeśli warunki atmosferyczne dopiszą, za jakieś 10 dni żniwa będziemy mieć z głowy. Pomocy ludziom starym udzielają kółka rolnicze i koła ZSMW, te ostatnie skoszą w czynie społecznym 100 ha zbóż. Mamy też aktualnie czynnych 47 dziecińców, w ostatnich dniach nie słyszymy narzekań na złą działalność handlu.

Z rozmowy telefonicznej, przeprowadzonej z dyr. **POM w Piotrkowie**, dowiedziałem się, iż od początku akcji było 48 zgłoszeń awaryjnych, drobnych zresztą, czyli o wiele mniej niż w ub. roku. Są jeszcze dwa zapasowe płótna, ale dziś jedzie się po nowe. Jeśli idzie o awarię, to na naprawę czeka się najwyżej do 3 godz. Brak jest natomiast łożysk do snopowiązałek WC-5, oraz układów kierowniczych do ciągników, ale w miarę możliwości regeneruje się je, przeto ciągniki nie stoją.

Wszystko tu się zgadzało, zboczyłem bowiem z trasy w okolice **Wolborza**, gdzie przekonałem się naocznie jak sprawnie, na wysokie „C", pracuje MBZ w **Młynarach**. A kiedy zbliżałem się do granic **Radomszczańskiego**, widziałem coraz więcej skoszonych żytnich pól.

Znów pojawiło się słońce, drogą ciągnęły wozy z przyczepionymi kosiarkami, na

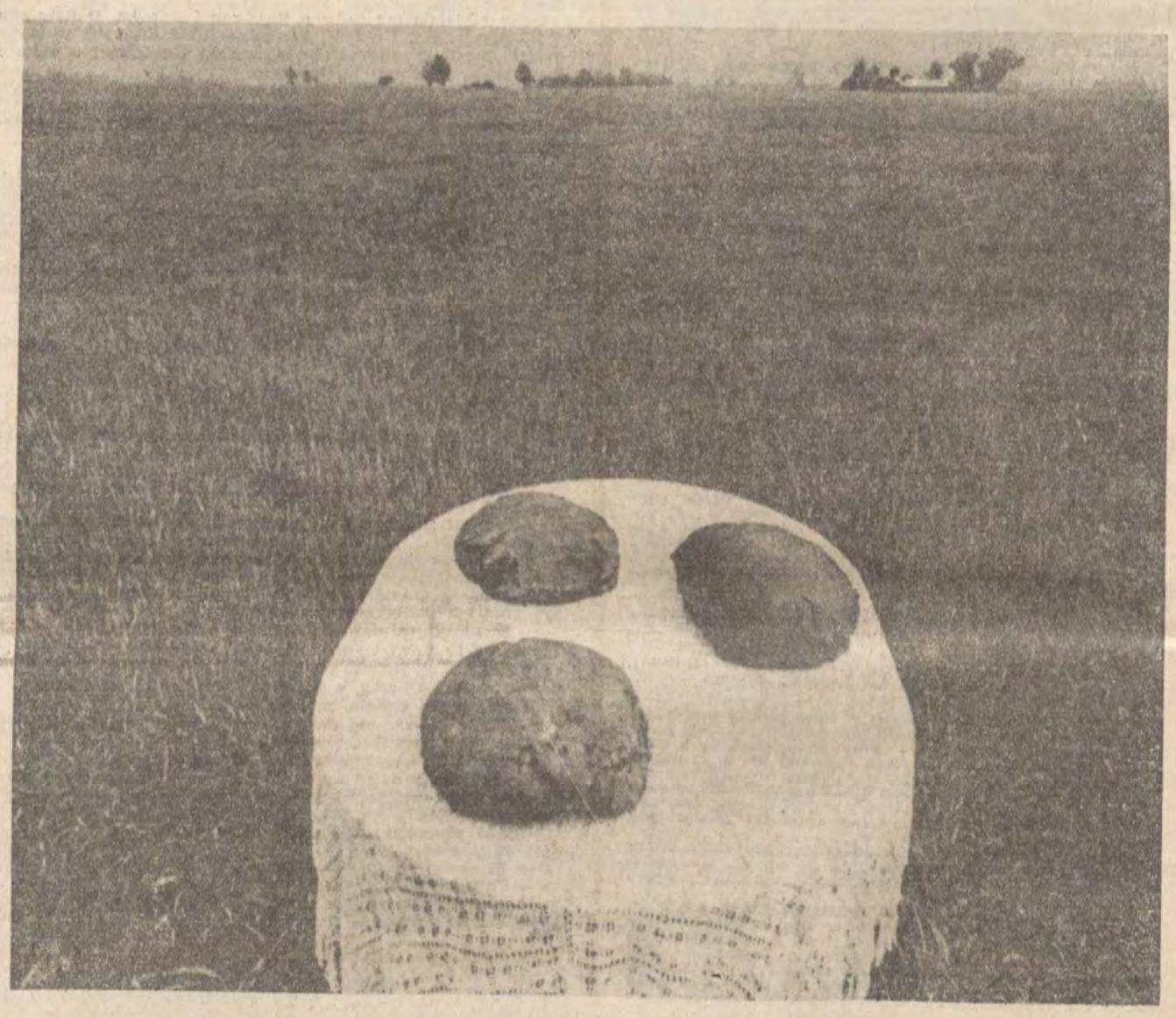

KTO WESPRZE KIESZONKOWCA?

Dalszy ciąg ze str. 1

PIW i „Czytelnik" wznowiły ze swego repertuaru wydawniczego po prostu te tytuły, na które istniało największe zapotrzebowanie, a więc przede wszystkim dzieła klasyków literatury rodzimej i obcej oraz powieści współczesnych autorów polskich, w mniejszym stopniu pozycje eseistyczne. Natomiast „Iskry", zgodnie ze swoim profilem, zaprezentowały szerszy wachlarz tytułów, od klasycznej już literatury przygodowej, podróżniczej, poprzez współczesne opracowania popularyzujące historię (Z. Kosidowski, M. Brandys), aż do książki kucharskiej. Mimo iż nakład globalny książek kieszonkowych stanowił zaledwie 5 procent ogólnej liczby wyprodukowanych egzemplarzy, niewątpliwie stanowiły one, przynajmniej na początku, coś w rodzaju „małej rewolucji" książkowej. Niebagatelnym walorem podnoszącym atrakcyjność polskich **pocket-books** była stosunkowo niska cena (9, 10, w wypadku większej objętości 15 zł za tomik), choć jest rzeczą do zastanowienia, czy relacja między ceną wydania tradycyjnego a ceną edycji kieszonkowej tej samej książki jest korzystna i zachęcająca do kupna tej ostatniej. (Dla przykładu: **„Trylogia"** w 8 tomach, w broszurze z klejonym grzbietem, a więc nie zapewniającym trwałości, jest zaledwie 2,5 razy tańsza od wydania luksusowego, bogato ilustrowanego).

Powoływane w latach 1966—1968 serie książek kieszonkowych nie wniosły jednak na dalszą metę jakiejś zasadniczo nowej jakości na nasz rynek księgarski, bowiem szybko wyprzedawane nie były w stanie zaspokoić nawet potrzeb tradycyjnych klientów księgarń, a cóż dopiero mówić o realizacji podstawowego ich celu: **pozyskaniu nowego odbiorcy.** Obecnie dodatkowy zastrzyk papieru na cele wydawnicze stwarza nadzieję na przekroczenie owego krytycznego dla rozwoju kieszonkowców progu: niskich nakładów. Ale obfitość książek „do kieszeni" niewiele zmieni sytuację, jeżeli w dalszym ciągu będą one trafiały tylko do tradycyjnych kanałów rozprowadzania, **jeżeli nie zreformuje się zasad ich rozdziału.** Przy obecnym bowiem mechanizmie zwiększenie nakładu poczytnej książki w serii kieszonkowej powoduje niejako automatycznie poprawę zaopatrzenia dużych, wielkomiejskich księgarń, nastawionych na wyrobionego pod względem zainteresowań czytelniczych klienta, pozostawiając na uboczu małe księgarenki i wszystkie pozaksięgarskie punkty sprzedaży, które mają największą szansę skutecznego „atakowania" potencjalnego odbiorcy. Przy podejmowaniu nowego, kompleksowego programu książki kieszonkowej w Polsce, o którym mówi się coraz więcej, **jest rzeczą nieodzowną przełamanie niechęci księgarstwa do podzielenia się sprzedażą kieszonkowców z innymi partnerami oraz porzucenie przez tych innych kontrahentów, jak kluby „Ruchu" czy sklepy CRS, postawy rezerwy i obojętności wobec handlu małą książką.**

Nie może być jednak mowy o nowym programie wydawania książki kieszonkowej bez... programu tematycznego dla tej serii, co stanowi czynnik porządkujący proces wyboru i orientujący czytelnika, swego rodzaju firmowym „znakiem jakości". Trzeba zaś powiedzieć, że jak dotychczas program serii **„z człowiekiem", „z ptaszkiem", „z delfinem", „z kolibrem"** wypełniały niemal wyłącznie reedycje tekstów beletrystycznych, które są ważnym wprawdzie, ale dopiero pierwszym krokiem na drodze ku pełnemu zdemokratyzowaniu form czytelnictwa. Najwyższy już czas, aby zrobić krok następny i udostępnić w małym formacie **inne rodzaje twórczości,** mogące zainteresować współczesnego czytelnika. Nie jest rzeczą przypadku że we Francji dużą poczytnością cieszy się w seriach kieszonkowych literatura tzw. pogranicza: reportaże, pamiętniki, korespondencje, zbiory dokumentów, że **mała forma edytorska obejmuje monografie i traktaty naukowe, encyklopedie, wydawnictwa z zakresu poezji i sztuk plastycznych, a nawet bogato ilustrowaną książkę artystyczną.**

Wielki czas, aby nasi wydawcy zrewidowali wreszcie swój osąd o masowym czytelniku w Polsce, zgodnie z którym pragnie on być karmiony niemal wyłącznie utworami wchodzącymi do kanonicznego zestawu lektur szkolnych, i zaczęli dostarczać mu w taniej, masowej książce aktualniejszych, bardziej nowoczesnych materiałów do przemyśleń i refleksji. Nie kryje się w tym nawet specjalne ryzyko finansowe, zważywszy, że szeroki odbiorca nieraz już dowiódł, uparcie poszukując określonych tytułów, że preferuje teksty niewiele mające wspólnego z tak zwaną ułatwioną lekturą.

Standard edytorski książki kieszonkowej. Nie przyjęła się u nas wprowadzona w Stanach Zjednoczonych jeszcze w 1939 r. formuła „paperback" i związany z nią obyczaj wyrzucania przeczytanej książki, nie znalazł społecznej aprobaty model książki kieszonkowej do „jednorazowego użytku". **Nabywca pragnie mieć nawet kosztem 2- czy 3-złotowej dopłaty** — dowodzą tego postulaty księgarzy dotyczące uatrakcyjnienia szaty graficznej i większej dbałości o lepsze wykonanie techniczne książki kieszonkowej (krytyczna ocena okładek i klejenia grzbietów) **— książkę względnie trwałą, w miarę przyzwoicie wykonaną, która w pełni nadawałaby się do wykorzystywania w domowym księgozbiorze.** Jest to zresztą opinia zgodna z poglądami wyrażanymi na ten temat za granicą, gdzie serie są numerowane i powstał nawet zwyczaj kolekcjonowania tego typu książek. O tym, że np. Francuzi nie wyrzucają książek kieszonkowych, świadczą wnętrza ich mieszkań, gdzie livres de poche często stanowią trzon biblioteki domowej, jak również fakt, że istnieje rozgałęziony

wozach całe rodziny, kiedy jednak pod **Kamieńskiem** za gadnąłem starego chłopa, co sądzi o tegorocznych żniwach, ten ofuknął mnie:

— Jak się ten z góry nie zlituje, to powiesimy Wicherka! On gada tak, a pogoda na opak! Ciężkie, panie, są te żniwa!

— Czy tylko ze względu na pogodę?

— Nie, też przez te maszyny. U nas wszystko zepsute, tylko bierz się za kosę, bo inaczej klapa. Że niby gdzie? Panie, namażeta tam różności, to jak przyjdzie co do czego, nikt mi żyta nie skosi. A poza tym trza się martwić o stonkę. Propaganda była, nagrody były za znalezienie szkodnika, a teraz nie ma czym tego cholerstwa przysypać!...

NACZELNIK W SPÓDNICY

Sądziłem, że znów będzie wszystko na czarno i że nie wszyscy ostro biorą się do żniw, bo snać z nadmiaru wolnego czasu ludzie ciągną na grzyby, albowiem na skraju dróg kobiety i młode siksy machały przed szybami „Wołgi" kobiałkami grzybów na sprzedaż. Ale to wcale nie tak... w **Radomszczańskiem** większość żyta stała w kopkach...

Kiedyś mój przyjaciel K. Frejdlich pisał o „naczelniku w spódnicy". Też takiego spotkałem w gminie **Gomunice**. Okazało się, że pani inż. **Elżbieta Kacperczyk**, bez pytań naprowadzających jest najlepszym informatorem w tym żniwnym rejsie.

— Gmina liczy 11 sołectw — powiedziała pani naczelnik. — A więc 1564 ha zbóż w gospodarstwach indywidualnych, tymczasem MBM brak, kółek rolniczych 3, z pięcioma snopowiązałkami no i brak mechanizatorów. W związku z tym jesteśmy w stanie ściąć mechanicznie w czasie żniw zaledwie 150 ha. Znając nasze możliwości „wyłapaliśmy" ludzi (starcy, wdowy), którzy sami nie poradziliby sobie ze żniwami i im w pierwszej kolejności, a także gospodarstwom największym, według harmonogramu, pośpieszyliśmy z pomocą poprzez kółka rolnicze i koła ZSMW. Mimo to ludzie przychodzą z interwencjami, ale przecież nie wszystkim naraz można dogodzić.

W tym miejscu zakończyłbym wypowiedź pani inż. Kacperczyk. Jestem bowiem reporterem czyli człowiekiem podejrzliwym, przeto wrednie nieco ale musiałem wszystko to, co mi powiedziano w urzędzie gminy Gomunice, skonfrontować osobiście. Dlatego też przyczepiłem się do kierownika służby rolnej, ob. **Janiny Nieśmiałek** (ta była już w spodniach, koloru granatowego zresztą) i w jej towarzystwie spenetrowałem teren gminy. Okazało się, co następuje:

Urzędników, łącznie z naczelnikiem, można co dnia zastać w gminie do godz. 19.00, gdzie pełnią żniwne dyżury. Jak dotąd, w 22 lipca, kiedy było dużo słońca i praca szła pełną parą, zdarzyła się jedna awaria, 23 lipca była druga, sam na nią trafiłem (akurat w **Kocierzowach**), lecz natychmiast pojechano do składnicy w Radomsku, zakupiono odpowiednią część i w ciągu 45 min. naprawiono snopowiązałkę.

W dalszym ciągu donoszę, iż w gminie Gomunice akcję żniwną rozpoczęto 13 lipca, a do 23 zżęto 50 proc. żyta (to główne zboże, bo ziemie lekkie). Jest bardzo dobrze z podorywkami, w czym przodują wieś i kolonia **Kletnia** (40 proc. podorywek), co zaś idzie o gospodarzy, to taki np. **J. Kowalski** sieje już poplony.

Pytam też o zaopatrzenie. Z konserwami mięsnymi nie najlepiej, były zahamowania w dostawie (zbyt późne, godz. 10.00) chleba, ale piekarnia w **Dobryszycach** już stanęła na nogi. Gwarantuje się też opiekę dzieciom w dwóch dziecińcach i czterech przedszkolach gdzie jest dobry nadzór pedagogiczny dzięki żywej działalności Wydziału Oświaty i KGW.

Aby nie być gołosłownym, oświadczam, że w **Karkoszkach** u małżeństwa **Zdzieszyńskich** (samotnych, ponad 70 lat), dotkniętych nieszczęśliwie losem, gdyż padły im wiosną konie, Zdzieszyński jest po poważnej operacji, skoszono już wszystkie zboże.

Jest faktem, że młodzież ZSMW w **Gertrudowie** i **Chrzanowicach** pomaga sprzątać zboże u takich gospodarzy w podeszłym wieku, jak **Maria Wodo, Maria Walczak,** czy **Józefa Sygulska,** łącznie w 20 gospodarstwach.

FINAŁ

I to był optymistyczny finał tej dość długiej podróży szlakiem żniw. Odjeżdżaliśmy. Zbliżał się wieczór, pan Mirek przycisnął gaz, „Wołga" rozbujała się na drodze, od wschodu śmigały błyskawice, znowu deszcz. Lecz im bliżej Łodzi, gdzie burze już przeszły, widzieliśmy pracujących w polu rolników. W łany żyt wchodziły kosiarki i błyskały kosy. Uświadomiłem sobie wówczas, że nakrakałem nieco na temat tegorocznych żniw, nie mogłem zresztą pokazać prac żniwnych w całym województwie tak kompleksowo, ale to, co zdołałem uchwycić, jest i tak pocieszające. Przecież nawet tego wieczora, a potem w następnych dniach, kiedy pisałem ten reportaż padał deszcz. Mimo to ludzie wychodzili w pole, by nie uronić chwili sprzyjającej pogody. A kiedy ten reportaż ukaże się w druku, być może żniwa miną półmetek. Zboża będą padać pod kosą, mokre, kłujące ościeniami ręce i twarze pobieraczek. To brzmi patetycznie, zdaję sobie z tego sprawę, ale jest p.zecież jasne, że mimo trudnych warunków ludzie, świadomi przemian zachodzących w naszym kraju, klnąc na Wicherka i jeszcze tam kogoś pragną dać temu krajowi chleb, którego potrzeba nam coraz więcej...

RYSZARD BINKOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 5

— Tu masz kilka dalszych szczegółów z niezwykłej biografii mister Ricordea — krótko wyjaśnił Coyn.

Informacja o Ricordzie zaczynała się od aresztu za złodziejstwo i wymuszenie, kiedy miał zaledwie 16 lat. W dwudziestym roku życia kierował już siecią domów publicznych. W 1940 roku, podczas okupacji hitlerowskiej, był szpiclem gestapo w Paryżu. W 1943 roku został aresztowany za ograbienie sklepu, ale gestapo kazało go uwolnić. W dossier brakło danych, ilu swoich rodaków wysłał Ricorde do komór gazowych w Buchenwaldzie, ale po wojnie znalazło się dość świadków, żeby postawić go przed sądem przysięgłych. W lipcu 1950 roku sąd francuski skazał go zaocznie na karę śmierci.

Należy przypuszczać, że Ricorde uciekł z Francji latem 1944 roku, żeby nie wpaść w ręce aliantów. Było o nim głucho do 1957 roku, to jest do chwili aresztowania go w Buenos Aires za handel żywym towarem. Gdy Francuzi dowiedzieli się o aresztowaniu Ricordea i zażądali jego ekstradycji, znajdował się już na wolności. Później, przez szereg lat, widywano go w wielu miastach Ameryki Łacińskiej: Mexico, Limie, Asuncion. W 1963 roku Ricorde został wydalony z Wenezueli i od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął.

Do sprawy była dołączona fotografia. Widniał na niej mężczyzna, podobny do gnoma, o ostrych rysach twarzy i czarnych oczach. Sully długo przyglądał się fotografii po czym wpisał do schematu imię „Andre" podkreślił je czerwonym ołówkiem i dodał znak zapytania.

W lutym 1969 roku Sully i Coyn doszli do wniosku, że mają już dostatecznie dużo materiału, żeby wreszcie przekonać Waszyngton. Skierowali do dyrektora służby celnej szczegółowy raport, wskazując w nim na nici, łączące każdego kuriera z dostawcami narkotyków w Hiszpanii i Francji oraz z tajemniczą organizacją w Buenos Aires.

Raport wywołał pożądany skutek: władze celne USA i policja rzuciły do walki z syndykatem przestępców wszystkie swe siły.

Na sukcesy nie czekano zbyt długo. Wiosną 1970 roku paryski wydział do walki z handlem narkotykami nadesłał do amerykańskich władz celnych odpis anonimu, który policja francuska otrzymała w kwietniu tegoż roku. Nieznany autor tego listu wymienił w nim sześć nazwisk bossów organizacji handlu narkotykami w Buenos Aires. Szczególnie dużo miejsca poświęcił mężczyźnie o imieniu „Andre", chociaż w pełni nie wyjaśnił jego roli w syndykacie.

„Za to — uprzedzał anonimowy informator — mogę dostać kulę w łeb"... Niemniej proponował dalszą współpracę: „W poniedziałki i wtorki dwóch najbliższych tygodni — pisał dalej — ukażą się w brukselskiej gazecie „Soir" drobne ogłoszenia następującej treści: „Sprzedam koty. Telefonować na numer....." Jeżeli policja będzie zainteresowana moimi dalszymi informacjami, proszę zatelefonować pod wskazany numer".

Była to cenna informacja i brzemienna w wydarzenia. W ciągu lata i jesieni agenci amerykańskiej służby kryminalnej otrzymali ważne informacje od tajemniczego mężczyzny, którym okazał się kurier, szpetnie oszukany przez syndykat. Wiele brakujących dotąd elementów tej łamigłówki, jak nawiska kurierów, adresy, daty przyjazdów, hierarchia zależności itp. — znalazło się na właściwych miejscach.

Tymczasem w Nowym Jorku rozpoczęły się aresztowania wśród „klienteli" syndykatu. Jeden z zatrzymanych był Argentyńczykiem i miał biuro eksportowo-importowe w rejonie Nowego Jorku. Drugi, także Argentyńczyk, był właścicielem małej restauracji niedaleko Broadwayu. (c.d.n.)

J. CZECH

NIE TYLKO NA SKRZYPCACH...

Z doc. **ANTONIM STARCZEWSKIM** — kierownikiem Katedry Tkaniny Unikatowej oraz Pracowni Gobelinów i Dywanów w PWSSP rozmawia **Andrzej Grun.**

— Czy mógłby Pan powiedzieć nam o swojej działalności w dziedzinie tkactwa artystycznego?

— Obecnie wystawiam na Biennale Tkaniny w Lozannie, wystawa po zakończeniu ma być przeniesiona do Stanów Zjednoczonych.

— Jak Polska reprezentowana jest na Biennale?

— Tym razem bardzo skromnie. Jury zakwalifikowało do wystawy prace czterech plastyków z Polski: Abakanowicz, Plewki, Sadleya i moją.

— Jakie tkaniny realizuje Pan obecnie?

— Kilka tkanin biało-czarnych, nawiązujących formalnie do moich grafik.

— Gdzie będziemy mieli możność je oglądać?

— Na mojej indywidualnej wystawie w Zachęcie w końcu bieżącego roku.

— Jak może Pan pogodzić swoją wielokierunkową pracę twórczą z pracą organizacyjną w uczelni jako kierownik Katedry Tkaniny Unikatowej oraz Pracowni Gobelinów i Dywanów?

— Pomimo roztargnienia, jestem, sądzę, niezłym organizatorem. W poczynaniach administracyjnych staram się nie stracić zdrowego rozsądku!

— Zdaje się, że łódzka szkoła plastyczna, która była dotąd nastawiona wyłącznie na współpracę z przemysłem włókienniczym i miała na tle innych wyższych uczelni tego typu swój odrębny profil artystyczny, ulega poważnej reorganizacji programowej. Czy nie zdaje się Panu, że ostatnio przeprowadzone zmiany wpłynęły na zanik tej odrębności?

— Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie...

— Czy atmosfera uczelni artystycznej wpływa mobilizująco na pańską aktywność artystyczną?

— Przez wiele minionych lat rzeczywiście wpływała...

— Jak ocenia Pan specjalistyczne przygotowanie studentów dla potrzeb przemysłu?

— Miarą tej oceny jest głos samego przemysłu, wysoce pozytywny. Zapotrzebowanie na absolwentów ze specjalnością druku, tkactwa, dzianiny i odzieży stale wzrasta, tak że na przestrzeni najbliższych lat nie zdołamy zaspokoić tych potrzeb.

— Jaki jest program pracowni, którą Pan prowadzi?

— Prowadzę studentów roku IV i V, którzy specjalizują się w projektowaniu dywanów i gobelinów z tym, że w moim rozumieniu termin „gobelin" kryje w sobie tkanina klasyczna (sumak, kilim, verne itd.) oraz współczesna tkanina unikatowa.

— Czy student z pańskiej pracowni jest przygotowany jednakowo dobrze do pracy w przemyśle, jak i do samodzielnej pracy artystycznej?

— Staram się dać studentowi bazę wyjściową do pracy w obu rodzajach projektowania. Na ogół jednak student interesuje się bardziej jedną z tych dziedzin w zależności od własnych predyspozyji psychicznych. W tym wypadku daję mu możność wyżycia się na wybranym kierunku projektowania, założywszy, że w szczególnych wypadkach program może być dostosowywany do indywidualności studenta.

— Jak układa się pańska współpraca ze studentami?

— Z tymi, którzy chcą się czegoś nauczyć nie miałem nigdy kłopotów...

— Czy istnieją duże zależności między pańską twórczością a projektami studentów — myślę o tkaninie artystycznej.

— Myśli pan o powiązaniach formalnych i naśladownictwie?

— O jednym i drugim.

— Mam licznych naśladowców rzeźbiarzy. Przy tworzeniu tkaniny łączność między moimi rozwiązaniami a rozwiązaniami moich studentów zachowuje właściwe granice.

— Czy mógłby Pan poszczycić się absolwentami, którzy mają własne wyniki w tworzeniu tkaniny unikatowej?

— Z pracowni mojej wyszły: Muszyńska, Gabrysiak, Marcjan, Kudukis, Kurkowska. Wielu moich absolwentów wystawia w kraju i za granicą.

— Jak radzą sobie pańscy absolwenci w przemyśle?

— Duży sukces odniosły: Bożena Burgielska oraz Zofia Szuster, które w ostatnim konkursie branżowym, organizowanym przez Ministerstwo Przemysłu Lekkiego zdobyły dziewięć nagród na jedenaście możliwych.

— Jak układa się pańska współpraca z przemysłem dywanowym?

— Jestem mile zaskoczony stosunkiem dyrekcji zakładów w Kowarach do moich absolwentek, jak również do mnie samego. U nas, na ogół, nie ma zwyczaju dziękowania, a proszę sobie wyobrazić, że dyrektor zakładu podziękowała mi i wyraziła osobiście swoje uznanie za dobre przygotowanie plastyczek do współpracy z przemysłem.

— Jak przyjmują klienci prace pańskich dyplomantów, realizowane w przemyśle?

— Ostatnio miałem sygnał z „Dywilanu" w Łodzi, z którym współpraca układa się również pomyślnie.

— Czy mógłby Pan powiedzieć coś o drugiej pracowni tkackiej, prowadzonej w pańskiej Katedrze przez doc. Jadwigę Pierzgalską?

— Doc. Pierzgalska prowadzi bardzo interesująco dział tkaniny unikatowej, kładąc specjalny nacisk na problemy awangardowe. Bardzo śmiałą ekspozycję prac studenckich doc. Pierzgalskiej miał pan zapewne możność oglądać w lokalu BWA przy ul. Piotrkowskiej 86.

handel antykwaryczny tym towarem.

Ze sprawą standardu edycji kieszonkowych ściśle wiąże się jeszcze jeden problem. Wobec stałego niedoboru na rynku poszukiwanych klasyków i lektur szkolnych, publiczne książnice zmuszone zostały do zakupywania nietrwałych i raczej nie nadających się do potrzeb czytelnictwa bibliotecznego książek kieszonkowych. Dlatego słuszny wydaje się postulat bibliotekarzy, że należałoby wydawać równolegle z tego samego składu edycję przeznaczoną dla bibliotek (odpowiedni gatunek papieru i oprawa) oraz edycję zaadresowaną do indywidualnych nabywców.

Nie piszę szerzej o ścisłych i dobrze zainteresowanym znanych **powiązaniach poligrafia — książka kieszonkowa**, bowiem zapowiadana szeroka, kompleksowa modernizacja polskiego drukarstwa stwarza nadzieję, że wynikające stąd dylematy zostaną wreszcie rozwiązane. Nie wolno jednak podsycać apetytów masowego odbiorcy zapowiedzią bliskich już milionowych nakładów „małej książki" w sytuacji, kiedy przemysł poligraficzny jest wciąż najsłabszym, najtrudniejszym do przeskoczenia ogniwem w procesie narodzin taniej, masowej książki.

Rozważa się obecnie sprawę uruchomienia już w najbliższym czasie produkcji kieszonkowców na o wiele szerszą niż dotychczas skalę, w **dużej serii międzywydawniczej mającej lansować do 200 tomików rocznie.** Po to aby nie powielać starych błędów, które odebrały dynamizm i możność szerszego oddziaływania naszym seriom kieszonkowym z lat 1966—1973, aby pozwolić książce małego formatu w pełni wykorzystać jej szansę, trzeba zapewnić kilka czynników: **bogaty, zróżnicowany program, odpowiednio wysokie nakłady, szybki druk i jeszcze szybsze wznowienia, przyzwoitą jakość, możność rozprowadzania poprzez wszelkie, nie tylko księgarskie, sieci handlowe.** Bez spełnienia tych podstawowych dla książki kieszonkowej warunków będziemy mieli do czynienia tylko z jeszcze jednym wydawniczym eksperymentem, którego cena może okazać się niewspółmiernie wysoka w stosunku do korzyści społecznych i kulturalnych.

JAN OKOPIEŃ

Listy do Redakcji

TRADYCJE KULTURALNE ZIEMI WIELUŃSKIEJ

Ziemia wieluńska, w czasach królewskich odrębna jednostka administracyjno terytorialna, wniosła swój poważny wkład do ogólnopolskiego skarbca kultury narodowej. Szereg wybitnych postaci regionu trwale zapisało się w dziejach polskiej kultury.

Pod koniec XVII i połowie XVIII wieku właścicielem starożytnej, sięgającej swymi początkami XIII wieku wsi Mokrsko, będącej już od XIV wieku gniazdem rodziny Kożuchowskich, był cześnik wieluński i poseł ziemi wieluńskiej na sejm — Stanisław Kożuchowski. Jako znakomity prawnik i aktywny działacz polityczny wyznaczony został uchwałą sejmu lubelskiego z 1703 r. deputowanym z ramienia izby poselskiej do boku króla Augusta II. W okresie walk o tron polski między Stanisławem Leszczyńskim a Augustem II stanął po stronie tego pierwszego, przystąpił do konfederacji warszawskiej, w której zasiadał jako konsyliarz. Był ponadto sekretarzem gabinetowym Leszczyńskiego. Dotychczasowa działalność polityczna nie przeszkodziła mu jednak w dalszej karierze politycznej. W latach 1726 i 1730 posłowała z ziemi wieluńskiej na sejmy grodzieński i warszawski.

Pierwszy z tych sejmów polecił mu w 1726 r. zestawienie i wydanie zbioru konstytucji sejmowych (postanowień wydanych przez sejm i ogłoszonych drukiem). W rok później, bo 18 listopada 1727 roku otrzymał w Grodnie od Augusta II przywilej wyłącznego druku zbioru konstytucji sejmowych na okres 20 lat. Za przedruk tego zbioru groziła wysoka kara 50 dukatów. Dla wykonania tego zadania założył Kożuchowski w swej dziedzicznej wsi Mokrsku k. Wielunia drukarnię i energicznie zabrał się do pracy. W 1732 roku ta iście benedyktyńska praca, wykonywana wyłącznie przez Kożuchowskiego i jego własnym sumptem, została zakończona.

Zbiór postanowień sejmowych którego strona tytułowa ozdobiona została pięknym miedziorytem Strachowskich z Wrocławia, znanych ilustratorów śląskich, został zatytułowany:

„Constytucye, statuta y przywileie koronne y W.K.Lit. na walnych seymach od roku pańskiego 1550 aż do roku 1726 uchwalone (...) zebrane (...) przez urodzonego Stanisława Kożuchowskiego, cześnika Ziemie Wieluńskiey". Wydawca zaznaczył też na karcie tytułowej, że konstytucje te wydane zostały na życzenie „Nayiaśnieyszego Maiestatu I.K.M. Augusta II y wszystkich stanów Rzeczypospolitey". Kiedy pierwsze egzemplarze były już gotowe wysłał z nimi do Warszawy swych synów, którzy zostali przyjęci na publicznym posłuchaniu przez Augusta II.

W szkołach pijarskich „Constytucye" Kożuchowskiego były używane jako podręcznik do nauczania historii Polski. Wydawnictwo to miało niewątpliwie wpływ na podjęcie przez Józefa Jędrzeja Załuskiego decyzji pełnego wydania zbioru praw polskich.

Rzecz przy tym znamienna, że w połowie XIX wieku Bronisław Chlebowski pisał w „Słowniku Geograficznym" o wydaniu przez Kożuchowskiego w Mokrsku k. Wielunia zbioru konstytucji sejmowych, że kilka lat temu H. Olszewski zamieścił w Polskim Słowniku Biograficznym obszerny biogram Stanisława Kożuchowskiego, a tymczasem najnowsze, specjalistyczne wydawnictwa encyklopedyczne bądź w ogóle nie wymieniają S. Kożuchowskiego (np. wydany w 1972 r. przez PWN Słownik Pracowników Książki Polskiej") bądź też podają informacje niezgodne z prawdą. Przykładem może być wydana w 1971 r. Encyklopedia Wiedzy o Książce w której podano, że Kożuchowski wydał zbiór konstytucji w Mokrsku nad Nidą, gdy sam wydawca na stronie tytułowej podał, że wydał zbiór w „Drukarni, Dziedziczney Wsi moiey, Mokrzku".

Dziś „Constytucye" są dość rzadkim drukiem. Jeden z egzemplarzy tej publikacji znajduje się w zbiorach Muzeum Ziemi Wieluńskiej.

TADEUSZ OLEJNIK
WIELUŃ

ANDRZEJ OSTOJA - OWSIANY

III PLANETA

(FRAGMENT)

Na ekranie ukazał się wykres sporządzony przez Lokalny Mózg Elektronowy. Planety podane były w kolejności, we względnych wielkościach i odległościach od Słońca. Był to typowy układ planetarny, dość rzadki we Wszechświecie.

Niegdyś w początkach ery podróży kosmicznych, Uumici badali takie układy niezwykle starannie. Stało się to możliwe po odkryciu neutritu – metalu absolutnie twardego, elastycznego i odpornego na wszelkie wpływy, nieprzenikliwego, nieprzewodzącego, odbijającego cząstki i fale, dającego się łatwo formować. Umożliwiło to konstrukcję termicznego skafandra antygrawitacyjnego. Astronauci nie obawiali się w nim nawet absolutnego mrozu, ani bardzo wysokich temperatur, ani większości promieniowań, ani obezwładniającej siły przyciągania wielkich mas kosmicznych. Umożliwiło to wielkie rozszerzenie badań planet. Po zdobyciu w ciągu bardzo długiego okresu czasu wystarczających doświadczeń, ustaleniu typów i cech charakterystycznych planet Uumici więcej się nimi nie interesowali, pozostawiając swoim robotom prowadzenie rejestrów i gromadzenie dalszych danych statystycznych.

Rakieta „UHUM 1010" ciągle hamując swój bieg przekroczyła orbitę IX Planety. Oddalona od Słońca o blisko 6 milionów kilometrów, pokazana na ekranach, zasłana była zwałami lodu w temperaturze zbliżonej do zera absolutnego. Od jej widoku uczeni stygli i kamienieli, a kilku zbliżyło się do stanu letargu. Ohydna, ciemna, zimna planeta-siedlisko wiecznej śmierci. Minięto ją jak najprędzej.

Następne wielkie planety również nie wzbudziły żadnego zainteresowania. Znano miliony takich globów. Ich temperatury znajdowały się w pobliżu 200° zimna, ich atmosfery składały się z dwutlenku węgla, amoniaku lub metanu, ich siły przyciągania były ogromne. Najwyżej diabeł mógł tu mieszkać, a i to bardzo krótko. Straszliwe burze magnetyczne kotłowały się po tych planetach bez przerwy. Pędziły huragany z szybkością 500 km/godz. i zmiatały wszystko po drodze. Piekielne wyładowania elektryczne nieustannie waliły w skostniałą, lodowatą ziemię. To były straszne światy i rakieta „UHUM 1010" szybko je minęła.

Dopiero IV Planeta bardzo ich zastanowiła. Weszli na jej orbitę i kilka tygodni przeprowadzali obserwacje oraz wysłali na powierzchnię neutritowy samolot zwiadowczy z kilkoma uczonymi. Bardzo dziwna, stara, niezupełnie wyziębiona planeta.

Nie zdziwił ich prawie zupełny brak tlenu i wody, ani czerwonawe morza i lądy, ani burze piaskowe, ani polarne czapy biegunowe. Zdziwiły ich i zaskoczyły substancje, które przy paleniu wydawały dym i już przy 100 stopniach wybuchały żywym ogniem. Substancje te nie były minerałami ani kruszcami, nie były również olejami ani łupkami, czym więc mogły być? Rozpatrzone w potężnych mikroskopach elektronowych, szczegółowo przeanalizowane, wykazały budowę komórkową i pierwiastek węgiel w różnych odmianach. Mikroskopy podpatrzyły nawet proces dzielenia się tych komórek, rozrost, a również zamieranie i zanik. Niektórzy uczeni byli zdania, że spotkano wreszcie prymitywne formy życia, inni uważali, że nie są to objawy życia, lecz specyficzne zachowanie się węgla w szczególnych warunkach termicznych. Po zbadaniu obfitych materiałów dostarczonych przez uczonych-zwiadowców, uczeni ustalili, że na IV Planecie nigdy nie mogło być żywych istot z powodu zbyt szybkiego wystygnięcia powierzchni, a więc braku czasu na powstanie i rozwój jakichkolwiek organizmów.

W miarę zbliżania się do III Planety ogarniało ich coraz większe zdumienie. Nic podobnego nigdy nie spotykali. Była ona zielono-błękitna, w niektórych miejscach przesłonięta oślepiającymi chmurami, z biało-srebrnymi czapami na biegunach. Gdzieniegdzie zasnuwały ją błękitne opary. W blasku słońca lśniła jak szafir i jak akwamaryna, jak opal i jak szmaragd. Podobna do wielkiej perły. Pierwszy drogocenny kamień wśród wszystkich bezmiarów Galaktyki. Coś niespotykanego, coś zupełnie wyjątkowego w otchłaniach Wszechświata.

Komandor wysłał trzy automatyczne rakiety zwiadowcze i wstrzymał lot „UHUM 1010".

– Przyjaciele – nadał w specjalny, często przerywany, uroczysty sposób – jak się zdaje, zbliżamy się do zadziwiającego, niebywałego zdarzenia, które na wieczne czasy zapisane zostanie w dziejach kosmonautyki. Otrzymałem do tej pory dostateczną ilość danych, aby przypuszczać, że glob ten posiada jakieś formy życia, jest może zamieszkały przez istoty inteligentne...

– Sprawdzają się moje przewidywania – triumfalnie wykrzyknął Adiutant. – Uniwersalny Mózg Elektronowy nie popełnił błędu. Znajdujemy się obecnie wobec chwili, na którą czekaliśmy i do której dążyliśmy w ciągu milionów lat. Miliony lat wysiłków, niebezpieczeństw, ofiar...

Większość starych uczonych, a zwłaszcza należących do stronnictwa „zniechęconych i rozczarowanych" poczuła się skompromitowana, skompromitowany również czuł się sam Komandor.

– To jest wręcz nieprawdopodobne – oświadczył. – Nie mogliśmy się spodziewać, że mogą być zaludnione takie planety, które w naszym pojęciu zupełnie nie odpowiadają warunkom ekologii. Nie można sobie wprost wyobrazić, że jakieś istoty będą zdolne do życia w szczupłych i arktycznych warunkach od minus 50 do plus 50 stopni...

W ich mózgach kłębił się chaos myśli własnych i obcych. Komandor czytał w tych myślach jak w książce: zdumienie, osłupienie, radość, wstyd, obawa, ciekawość, żądza poznania – wszystkie te uczucia mieszały się ze sobą.

– Kto wspomniał o niebezpieczeństwie? – zapytał. – Tak jest – mówił dalej – to jest słuszne. Zachowamy wszelkie środki ostrożności. Skąd możemy wiedzieć, kogo tam spotkamy i jak zostaniemy przyjęci? Mieszkańcy tej planety mogą sobie wcale nie życzyć naszej wizyty.

– A jeśli tak będzie? – zapytał ktoś.

– Uczynimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby się z nimi porozumieć.

– A jeśli mimo wszystko nie zechcą?

– Udamy się w dalszą podróż.

– Zrezygnujemy?

– Tak. W żadnym wypadku nie zastosujemy przemocy.

– Chyba nie będą od nas silniejsi?

– Tego nie wiemy. Zobaczymy.

Uumici byli bardzo potężni i jakby stworzeni do podróży kosmicznych, jakkolwiek o tym nie wiedzieli, gdyż nie znali nikogo z kim by się mogli porównać.

Obawiali się tylko skoncentrowanych promieni gamma i bardzo silnych wyładowań elektrycznych. Promienie gamma rozstrajały ich system myślenia, a potężne ładunki elektryczne powodowały zamęt w ośrodkach ruchowych. Poza tym nie działały na nich żadne inne promienie. Nie obawiali się również gazów ani substancji żrących, palących lub rozkładających. Od uszkodzeń mechanicznych chroniły ich twarde pokrywy kwarcowe oraz skafandry neutritowe, tak, że prawie nie obawiali się uderzeń, zderzeń oraz mniejszych wybuchów i bombardowań.

– Mam wiadomość – powiedział Komandor – że planeta wydziela słabe promieniowanie nieznanego typu, oraz posiada dość silną radiację. Takiego promieniowania nie znamy, ale nie jest ono kierowane, raczej spontaniczne.

– Może zapora ochronna? – zapytał któryś z uczonych.

– Tak – zgodził się Komandor – to jest możliwe. Raczej jednak jest to coś innego, gdyż rakiety nasze przeszły i pogrążyły się w niej bez trudności.

Od pilotów automatycznych przychodziły ostatnie wiadomości: nigdzie na tej planecie srebrzystej, błękitnej i zielonej nie zauważono żadnego niebezpieczeństwa. Świat ten był niezwykle cichy, spokojny, jakby senny.

Atmosfera była gęsta: składa się z tlenu, azotu i pary wodnej. Para wodna w wielu miejscach unosi się w postaci chmur. Bardzo dużo jest wody w stanie płynnym i stanie stałym. Jest dużo nierówności: gór i dolin.

Wokół planety krąży satelita: duży, zimny i martwy. Żadnych oznak życia na nim nie stwierdzono.

Po krótkiej naradzie ze swoimi zastępcami: Wicekomandorem i I Oficerem, Komandor zdecydował. – Na planetę polecą trzej najmłodsi uczeni – I Adiutant, II Adiutant i III Adiutant.

Zadanie jest bardzo poważne. Będą pierwszymi Uumitami którzy, być może, zetkną się z nowymi formami życia.

DYMITR WELINOW

Ballada o pociągu

Z Sofii do Burgas linia kolejowa
Z Sofii do Burgas ten pociąg pospieszny
Ten niezmożony pociąg co napina
Bałkańskie góry jak stos pacierzowy
I czas ten trakt żelazny z nocy i dni
Co jak horyzont umyka ze świstem
Pod niebem rozsadzonym przez ciężarny pociąg
Pociąg: dwadzieścia pięć ładownych wagonów
W tym pociągu wzrastałem często był mi domem
Był biblioteką snem szczęściem przelotnym
Wszystkie pory roku splotły się w uścisku
Teraźniejszość i przyszłość wypełniły wnętrze
Za jego oknami niby przez mój uśmiech
Przelatują wszystkie Bułgarie miasta wioski
Bułgarie osiadłe jeszcze przedwojenne
I te pospieszne Bułgarie dzisiejsze
A nad grobami braci mącimy powietrze
Bo nie ma zgody na ciszę zastałą
I kiedy się spotkamy w najdalszej oddali
Świetliste prawa zawrzemy na niebie.

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

Nie bądź podobny wiatrom

Nie bądź podobny wiatrom
nie bądź podobny wiatrom

wiatr rozsiewa na przemian po ziemi
ziarna pszenicy i ziarna kąkolu
pięknych kwiatów i uschniętych cierni

nie bądź podobny wiatrom
nie bądź podobny wiatrom

wiatr buszuje po ziemi
wiecznie nieporuszony wiecznie obojętny
na dobre i na złe na radość i mękę

nie bądź podobny wiatrom
nie bądź podobny wiatrom

Przekład: JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

ZDZISŁAW BEKSIŃSKI — rysunek

KSIĄŻKA

ROZRYWKA NA POWAŻNIE

Tadeusz Papier napisał książkę sensacyjną z ambicjami. Stał się to u nas ostatnio modny „gatunek" sensacji.

Warto nawet przy lekturze „Diablicy z Mediolanu" zadać sobie pytanie, czy jesteśmy właśnie świadkami narodzin nowego, rodzimego typu literatury rozrywkowej?

Pod słowem „nowy" rozumiem odejście od klasyki kryminalnej, zerwanie z panującym wzorem, albo jak kto woli ze schematem.

Czy to wychodzi powieści sensacyjnej na dobre, czy przeciwnie tak dalece niszczy kanon, że nie można już mówić o „dreszczowcu" literackim?

Jeżel rozpatrywać sprawę w kategoriach właśnie literackich — wychodzi to powieści sensacyjnej na dobre. Kto jednak pragnie się przed snem solidnie przestraszyć, niechaj sięgnie do klasyków kryminału.

Klasykom sensacji zawsze i przede wszystkim chodziło o zagadkę kryminalną, a tok narracji służył tej naczelnej zasadzie. Chodziło o takie spiętrzenie grozy, żeby czytelnik był pewien za co zapłacił swoje pieniądze.

Nie wykluczało to oczywiście u znamienitych autorów tego gatunku, poziomu literackiego, a zwłaszcza sprawności warsztatowych.

Tadeuszowi Papierowi zależało także na czym innym. Na maksymalnym nasyceniu swej sensacyjnej książki treściami poznawczymi.

Autor „Diablicy w Mediolanie" przeprowadza też w powieści swoją tezę, która jest na równi z wątkiem sensacyjnym „bohaterem" książki — przeszłość jest nierozerwalnie związana z teraźniejszością, rzutuje w przyszłość. Zródeł wielu niejasnych spraw, ludzkich konfliktów i dramatów można szukać daleko wstecz.

Jak na książkę sensacyjną spore to ambicje.

Z „upakowanych" w powieść treści poznawczych trzeba przede wszystkim wymienić fragmenty historii starej Łodzi, jeszcze Łódki, zapisy dotyczące narodzin łódzkich zakładów przemysłowych, proweniencję ludzi, którzy później stali się jej klasą robotniczą.

Autor pragnie również przybliżyć czytelnikowi topografię współczesnej Łodzi, stworzyć wierny opis miasta.

Zręczność warsztatowa pozwala mu wyjść z tego zadania obronną ręką. Historyczno — miejskie partie książki jakoś „siedzą" w tekście głównie dzięki naczelnej tezie powieści. Sensacja bowiem dziejąca się dziś i teraz ma swoje źródło w okupacyjnej zbrodni kolaboracji, a kończy się zdradą kraju w dobie obecnej — pracą na rzecz obcego wywiadu.

Książka Tadeusza Papiera jest więc niemal doskonałym przykładem nowej, hybrydycznej fali literatury sensacyjnej, jaka zyskuje sobie ostatnio prawo obywatelstwa w naszej literaturze rozrywkowej.

Dodatkową atrakcję książki stanowi jej osobisty ton poufnych zwierzeń, ponieważ autor i jednocześnie bohater powieści, a także dziennikarz i detektyw z własnej, nieprzymuszonej woli, występują w niej w jednej osobie. Dodajmy do tego, że ten wielopostaciowy bohater jest także historykiem swego miasta i szperaczem z powołania.

Książkę — jak przystało na lekturę rozrywkową — czyta się lekko i łatwo, aczkolwiek bez wypieków na policzkach. Można przerwać lekturę w środku nocy i nie ma obawy, że blady świt zastanie nas z bólem głowy nad ostatnim zdaniem.

Tadeusz Papier solennie wypełnił hasło „uczyć — bawiąc". Zrobił to ze znajomością pisarskiego fachu i z dobrym smakiem. A chyba o to chodzi przede wszystkim, jeżeli mamy na względzie dydaktykę.

Książka została oddana do składania w grudniu 1972 r. Podpisano ją do druku w kwietniu 73. Druk ukończono w maju. Trochę czasu potrzeba na rozprowadzenie nakładu, powiedzmy więc, że cały cykl produkcyjny trwał pół roku. Oby tak zawsze i wszędzie, przy każdym tytule, nie tylko rozrywkowym! Z doświadczenia bowiem wiemy, że bywa jeszcze różnie.

BARBARA NAWROCKA – DOŃSKA

ODGŁOSY

MAGAZYN WAKACYJNY Nr 5

NA jarmarku w Berdyczowie

Berdyczów, liczący dziś prawie 60 tysięcy mieszkańców, położony w obwodzie żytomirskim, za czasów Rosji carskiej znany był ze słynnych jarmarków, które ściągały ludność z odległych stron, a nawet z Królestwa Polskiego. Pierwsze drukowane egzemplarze **„Ballad i romansów"** były sprzedawane właśnie na jarmarku w Berdyczowie przed 150 laty — w 1823 roku. W Warszawie wiersze poety spotkały się z oburzeniem krytyków, z **Franciszkiem Dmochowskim** na czele. W małym podówczas miasteczku wołyńskim — doznały entuzjastycznego przyjęcia. Wspomina o tym w pamiętnikach **Franciszek Kowalski,** znany tłumacz utworów Moliera.

W 1823 roku, po ukazaniu się drukiem w Wilnie u Józefa Zawadzkiego „Ballad i romansów", przyjechał do Berdyczowa również znany księgarz Glücksberg z dużym zapasem nowo wydanej książki poety. Franciszek Kowalski w swoich wspomnieniach opisuje wieczór u pewnej Polki, która zwykle przyjeżdżała na jarmark z trzema swymi córkami i przyjmowała u siebie całą zgromadzoną tam elitę towarzyską. Jeden z gości miał przy sobie tylko co zakupione na jarmarku „Ballady i romanse" Adama Mickiewicza. Obecny na wieczorze **Stanisław Doliwa-Starzeński,** znany na Wołyniu ze swych ballad, odezwał się pierwszy:

— Słyszałem o poezjach Mickiewicza, że są genialne. Kupiłem je dziś u Glücksberga, ale nie czytałem ich jeszcze.

— A ja czytałem — odezwał się Kowalski. — Genialny i oryginalny poeta.

— Jeżeli panie pozwolą — zaproponował Starzeński — to coś na próbę przeczytamy z tych wierszy. Osądzimy, czy są naprawdę tak dobre.

Po „Romantyczności" przyszła kolej na „Switeziankę", którą Starzeński przeczytał od początku do końca. Wiersze przyjęto z entuzjazmem. Kilkoro z gości udało się do Glücksberga i wkrótce wrócili z paroma egzemplarzami „Ballad i romansów".

FR. LEWANDOWSKI

Zwierzęta i barwy

Wbrew powszechnej opinii, przysłowiowa płachta na byka nie musi być wcale czerwona. Może być żółta, zielona lub biała. Bykowi jest wszystko jedno, bo nie jest zdolny do... rozpoznawania barw. Światło widzi tylko na podobieństwo czarno-białej fotografii.

Byk nie jest odosobniony. Tak samo widzą światło: szop, pracz, niektóre małpiatki, chomiki, myszy leśne i szczury workowate. Uczeni nie ustalili jeszcze, czy psy, koty, króliki, myszy domowe i szczury widzą kolory. Wiadomo wszakże iż w świecie zwierzęcym panuje ograniczona zdolność rozróżniania barw.

Ustalono, że jeż widzi prawdopodobnie tylko kolor żółty, a nornica — żółty i czerwony. Dla zwierząt, które rozróżniają tylko niektóre kolory ma to ogromne znaczenie. Na przykład zagrożona żaba wodna zawsze skoczy w coś niebieskiego, może to być woda w stawie lub papier niebieski podsunięty jej przez eksperymentatora. W tej samej sytuacji kolor zielony działa na nią odpychająco.

Więcej kolorów rozróżniają konie, jelenie, owce, żyrafy, wiewiórki, świnki morskie oraz tchórze. Najlepiej rozwinięte odczucie barw mają małpy, z których wiele gatunków rozróżnia barwy tak samo jak człowiek. Ludzie mogą rozróżniać 250 czystych barw, około 17 tys. barw mieszanych i mnóstwo odcieni. W sumie oko człowieka może odbierać łącznie 5 mln odcieni i niuansów barw. Wyłączywszy jednak daltonistów.

FESTIWAL z policjantem

Podczas słynnego konkursu **im. Jacquesa Thibaud** w Paryżu, jurorów „pilnował" w tym roku policjant. Trudno powiedzieć, czy stróż porządku czuwać miał nad bezpieczeństwem w razie oburzenia spowodowanego mylnymi werdyktami sędziów, czy stanowił swoistą presję moralną, która werdyktom takim miała zapobiegać. Faktem jest — jak stwierdził obserwujący konkurs z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki wybitny skrzypek — **Zenon Płoszaj,** że impreza przebiegła spokojnie i bez dysonansów. Kto wie, czy ze wzoru tego nie powinni skorzystać organizatorzy naszych festiwali piosenek.

Laureat ostatniego Konkursu Chopinowskiego — **Karol Nicze** — dał się ostatnio poznać jako utalentowany wykonawca muzyki jazzowo-beatowej. Wraz ze swoją grupą instrumentalną, towarzyszyć będzie piosenkarce **Halinie Frąckowiak** podczas występów w Berlinie w ramach światowego Festiwalu Młodzieży. Halina Frąckowiak natomiast — po występach w NRD — pojedzie do Aleksandrii, gdzie odbędzie się Festiwal Piosenki „Cleopatra". Do Aten na kolejną „Olimpiadę Piosenki", jedzie **Zdzisława Sośnicka.** Nie wiadomo jeszcze natomiast, kto będzie repezentował Polskę w Sopocie...

W malarskiej pracowni *foto: W. Parys*

NA GRZYBY!

Są już grzyby. Na urlopie nie zawsze możemy marynować lub suszyć grzyby. Nie co dzień mamy ochotę karmić się grzybkami w śmietanie. Co robić z nadmiarem zebranych grzybów?

Proponujemy **kiszenie.** Nadają się do tego różne gatunki grzybów. Na zimno możemy kisić **rydze** i **surojadki.** Na gorąco — **borowiki, koźlarze, krawce, maślaki, opieńki.** Potrzebne: duży słój lub kamienny garnek, sól, cebula, pieprz, listki bobkowe. Świeże, młode grzyby układamy w naczyniu, przesypując solą i dodając w niewielkiej ilości przyprawy. Po napełnieniu naczynia grzyby przycisnąć denkiem i kamieniem. Na kilka dni stawiamy je w chłodne miejsce. Po uleżeniu słój można uzupełniać świeżymi grzybami. Aż do pełności.

Przy kiszeniu na gorąco różnica polega tylko na tym, że grzyby trzeba krótko obgotować.

Tak przygotowane grzyby nadają się już do jedzenia po dwóch, trzech tygodniach. Zmieszane z cebulką, śmietaną lub oliwą są znakomitą i nieczęsto spotykaną przekąską.

POCZTA MAGAZYNU

Głupia sprawa

Panie Redaktorze!

Długo zastanawiałam się, czy wypada napisać do „Odgłosów" o takiej głupiej sprawie, ale ośmieliły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze — redaktor Ryszard Binkowski skarżył „Magazynowi" na porządki w pabianickiej pralni. A po drugie — w podtytule „Odgłosów" stoi wyraźnie: „pismo społeczno-kulturalne". Moja sprawa — jakby się kto uparł — ma wydźwięk i społeczny (szczególnie dla damskiej części społeczeństwa) i kulturalny chyba też.

Żeby dłużej nie nadużywać Pańskiej cierpliwości, powiem, że chodzi mi — ot, głupia sprawa — o zapinki do damskich staniczków. Niby drobnostka, a obejść się bez tego ani rusz. A one — te zapinki — mają jeszcze to do siebie, że się łamią. Od wczesnej wiosny nie ma ich w sprzedaży ani w Łodzi, ani w województwie. Dostępne są tylko albo czarne, albo różowe. Ale te różowe są do chrzanu, o czym producent pewnie wie doskonale.

Któraś z rzędu sprzedawczyni powiedziała mi:

— A na cały stanik to panią nie stać?!

Inna była jeszcze życzliwsza:

— Proszę pani — powiedziała — przecież teraz jest moda na biust uwolniony.

Zawstydziłam się, bo obie mają rację. Ale mnie już teraz nie chodzi nawet o te zapinki. Przeczytałam, że na lato można zrobić sobie z chustki, za jednym zamachem, i stanik i bluzkę. Spróbuję. Ale niezależnie od tego, może ktoś mi wyjaśni, gdzie podziały się białe zapinki? Czy to spisek producentów, czy handlowców? I czy wśród nich nie ma żadnej kobiety?

Bożena K.

OD REDAKCJI: Zwołaliśmy w zespole „Magazynu" błyskawiczną naradę. Po burzliwej dyskusji okazało się, że tylko red. Ryszard Binkowski wypowiada się po stronie tej sprzedawczyni, która jest za biustem uwolnionym. Reszta zespołu jest za stanikami z dobrymi zapinkami. Byle tylko nie były zbyt skomplikowane przy rozpinaniu.

ATLANTYDA

A jednak świat się kręci! — mógłbym zawołać i miałbym rację, bo oto minął 1 sierpnia i lato chyli się ku końcowi. Nadejdzie wrzesień i w radio usłyszymy nieodmiennie piosenkę „A mnie jest szkoda lata". Nim to jednak nastąpi mamy jeszcze na szczęście lato i letnie kłopoty. A te — jak zwykle — znajdują swoje odbicie na łamach gazet. Czytelnik jest zmęczony, znudzony i szuka rozrywki. Trzeba mu jej dać. Więc z Italii dobiegły nas wołania, że krzywa wieża w Pizie pochyliła się niebezpiecznie. Kto żyw niech pośpiesza na Półwysep Apeniński, aby ujrzeć ją póki jeszcze czas.

Z Półwyspu Pirenejskiego natomiast dobiegły nas inne wołania. Zjechała tam amerykańska ekspedycja, aby szukać legendarnego lądu — Atlantydy. Ekspedycja amerykańskich poszukiwaczy liczyła sobie 70 osób, a zorganizował ją Kalifornijski Uniwersytet Peperdine.

Ekspedycja ledwie przyjechała i już... sukces. Jak oświadczyła przedstawicielowi agencji UPI pani Maxine Asher, dokonano nieprawdopodobnego odkrycia. Znaleziono ruiny miasta na dnie Oceanu Atlantyckiego. Inny uczestnik tej wyprawy dodał:

— Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co widzieliśmy na własne oczy. Wiem tylko jedno, że jest to nadzwyczaj ważne odkrycie.

Ba! Ale cóż takiego odkryli Amerykanie na dnie Atlantyku? Otóż to! Tego właśnie nikt dokładnie nie wie. Jedno jest tylko pewne. Hiszpanie zabronili dalszych poszukiwań. Powód? Uznano, że ekspedycja amerykańska nie posiada odpowiednich uprawnień do badań podwodnych oraz, że badania te nie były przeprowadzone w „sposób prawidłowy".

Rąbka tajemnicy uchylili uczeni hiszpańscy. Olga Villespin stwierdziła, że nie sądzi, aby odkrycia te były taką rewelacją. Uważa ona, że rysunki dokonane pod wodą

Dalszy ciąg na str. 10

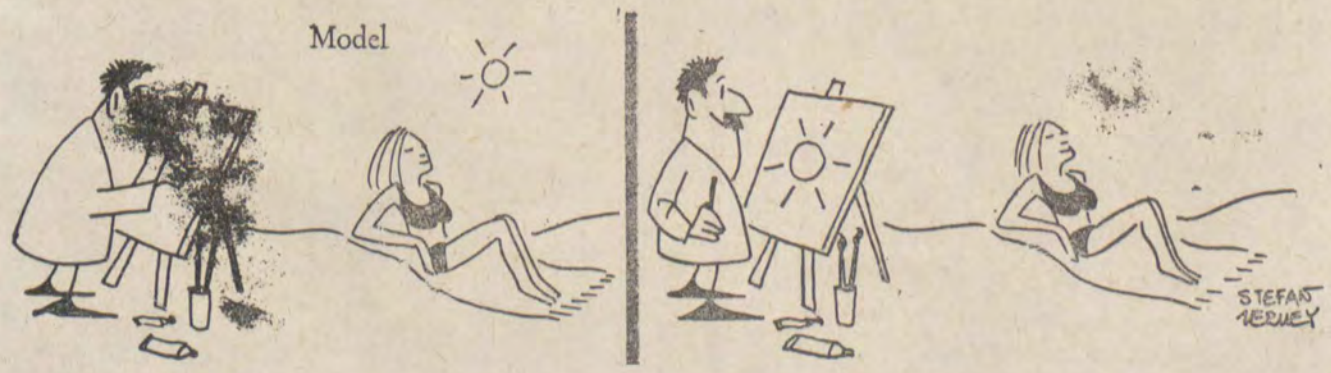

Atlantyda

(Dokończenie ze str. 9)

nie są przekonywające, a innych dowodów Amerykanie nie przedstawili. Natomiast zdaniem innego uczonego hiszpańskiego – Cezara Pemana Amerykanie natrafili na ruiny pochodzące z okresu wojen punickich z III w. przed naszą erą.

A jeśli Amerykanie natrafili na ruiny Tartessusu – stolicy legendarnej Atlantydy? Wiadomość o tym lądzie pochodzi od Platona – filozofa greckiego, ucznia Sokratesa. Platon wspomina o potędze, która przyszła z „Morza Atlantyckiego" i złamała siły poprzedników Ateńczyków.

„Wtedy to morze tam było dostępne dla okrętów – pisze Platon. – Bo miało wyspę przed wejściem, które (...) nazywacie Słupami Heraklesa. Wyspa była większa od Libii i Azji razem wziętych".

Atlantydy przez przeszło 50 lat szukał niemiecki uczony prof. Adolf Schulten, który po żmudnych badniach doszedł do wniosku, że ląd ten istniał i leżał w Zatoce Kadyksu – u ujścia hiszpańskiej rzeki Gwadalkwiwir. I właśnie tam szukali Amerykanie. Ponoć nakręcili nawet barwny film podwodny, ale jego projekcja odbędzie się w późniejszym czasie.

Kadyks leży na północny wschód od Gibraltaru – starożytnych Słupów Heraklesa. Wody zatoki, do której wpada rzeka Gwadalkwiwir znajdują się na wprost Gibraltaru. I to zgadzałoby się z lokalizacją Atlantydy, jaką sprezentował potomnym Platon, który całą tę „awanturę", trwającą już przeszło 2 tys. lat, sprowokował. Co więc odkryli Amerykanie?

Jak na razie udali się do Irlandii, aby u jej wybrzeży dalej szukać śladów Atlantydy. Można im tylko życzyć powodzenia, bo tajemnica legendarnej wyspy pasjonuje ludzi od dawna. Wiele już napisano na ten temat, a zajmowali się tym zarówno wybitni uczeni, jak i zwykli kombinatorzy. Dzieje badań śladów Atlantydy są barwne i ciekawe. W ubiegłym roku „Wiedza Powszechna" po raz trzeci wydała książkę Ludwika Zajdlera „Atlantyda". Polecam, jeśli ktoś ją jeszcze dostanie. Pasjonująca lektura.

WŁ. DIODOR

Jurij Nikolskij

Poczucie obowiązku

Przejmujący grudniowy wiatr gonił wzdłuż kanału żółte liście i brudne papiery. Przede mną majaczyły kontury pijaka. I nagle pijak znikł. Instynktownie poczułem trwogę i spojrzawszy na wodę dostrzegłem kołyszący się na falach kapelusz. Zdjąwszy ubranie rzuciłem się do kanału. Kiedy przy pomocy przechodniów wyciągnąłem na brzeg trzydziestoletniego mężczyznę, ten zdążył już był wytrzeźwieć. Jeden z przechodniów, mieszkający w pobliżu, zaciągnął nas do siebie. Wysuszyliśmy ubrania, napiliśmy się gorącej herbaty. Po godzinie uratowany podszedł do drzwi, nacisnął klamkę i powiedział:

— Idę.

— Jak to? — zdziwił się gospodarz. — Pan nawet nie powiedział „dziękuję" człowiekowi, który uratował panu życie?

— Spełnił swój obywatelski obowiązek. Nie on, to ktoś inny pośpieszyłby mi z pomocą. Ot, choćby pan. Czy postąpiłby pan inaczej?

NASZA RADA: – Nie nudź się na wakacjach

POWIĘKSZENIA

TAJEMNICZY BANKIER

W „Głosie Robotniczym" przeczytaliśmy:

Wprawdzie dyrektor Wojewódzkiego Oddziału PKO (...), z którym właśnie na te tematy rozmawiamy, niczym nie przypomina utrwalonego w naszej wyobraźni, chyba potrosze dzięki twórczości Marka Twaina i westernów postaci tradycyjnego bankiera (starszego pana z obowiązkową złotą dewizką)..."

W naszej wyobraźni bankier ma obowiązkowo grube cygaro i ciemne okulary, ale nadal nie wiemy, jak wygląda nasz, rodzimy bankier, rodem z PKO?

PRZEPISIK

„(...) Alkohol etylowy, który określa się znakiem chemicznym C_2H_5OH, (...) jest płynem bezbarwnym o piekącym smaku i charakterystycznym zapachu. Są trzy zasadnicze sposoby produkcji alkoholu metodą fermentacji.

(...) WÓDKI zawierające od 40 do 50 procent alkoholu otrzymuje się przez destylację sfermentowanego płynu z kartofli lub zboża. W procesie fermentacji jako składniki uboczne powstają bardzo szkodliwe fuzle. Szczególnie dużo zawiera ich bimber, który jest zawsze źle oczyszczony..."

Tytuł informacji: Kobieta i dom". Gdzie jej szukać? W 7 numerze pisma „Zdrowie i Trzeźwość".

W następnym odcinku kobiety spodziewają się otrzymać receptę na oczyszczanie bimbru domowym sposobem.

W TROSCE O POSTĘP

„Express Ilustrowany" opublikował pod tytułem: Z KAMIENIEM DO... „JUBILERA" następującej treści informację:

„...jakiś wandal wybił potężnym kamieniem wielki otwór w szybie wystawowej sklepu PP „Jubiler" przy ul. Piotrkowskiej 107. Spadający kamień stukł szklaną gablotę, miażdżąc ułożone w niej zegarki. Jak oświadczyła kierowniczka sklepu – koszt wstawienia szyby, zniszczonych zegarków, znacznie przekraczają cenę kilku zegarków skradzionych".

Nas też ta prymitywna metoda zdegustowała.

§ „ZŁOTY" INTERES

Znaleźć żyłę złota w drugiej połowie XX wieku i to w Polsce, gdzie kopalnictwo tego szlachetnego metalu nie ma żadnych tradycji, jest sprawą raczej niemożliwą. Tymczasem okazuje się, że dla kanciarzy i wydrwigroszów nie ma spraw niemożliwych. Pionierem, a raczej jednym z pionierów okazał się w tym względzie niejaki Zenon Ż. notabene warszawski taksówkarz, który to zawód w związku z popularnym przebojem stanowi od pewnego czasu symbol cwaniactwa.

Zawarcie znajomości w taksówce z prowadzącym ją kierowcą nie jest trudne. Więc — jak twierdzi Zenon Z. — kiedy pewien cudzoziemiec rozpoczął właśnie w taksówce rozmowę o pogodzie, taksówkarz znudzony długotrwałym krążeniem po Warszawie z chęcią ją podjął. Jak doszło do propozycji sprzedaży Zenonowi Ż. większej ilości złota i kamieni syntetycznych, nie bardzo wiadomo. Zresztą rozmowy o pogodzie, jak wiemy z doświadczenia, różnie się kończą. Fakt jest faktem, że oferta została przyjęta. „Żyła złota" została odkryta.

Eksploatacją jej zajęli się oprócz taksówkarza dwaj łodzianie, bracia M. — Stefan i Henryk. I tu nasuwają się rozważania na temat atrakcyjności finansowej pewnych zawodów. Bo dziwny jest fakt, że mało się wie o tak ciekawych zawodach jak palacz (w kotłowni) i dozorca. Obaj bowiem bracia byli reprezentantami tych zawodów, pracujący zresztą przez cały okres działalności przestępczej zawodowo i płacący za sztabkę złota wartości 14 tys. zł — sumę w granicach 24—25 tys. zł. Szczególną żyłkę do interesów, mają niektórzy palacze vide nie tak dawno znowu odkrycie bimbrowni w kotłowni pod restauracją „Tivoli".

Interes nie byłby interesem, gdyby nie było ruchu. Cóż więc robili ze złotem obaj bracia? Zarówno kruszec, jak i szlachetne kamienie powierzali samoukom — grawerom, którzy przetwarzali to wszystko na atrakcyjne pierścionki. Szczególny „dryg" do tego miał Stanisław W. zatrudniony w zakładzie „Elester" jako presor. Wyprodukował on ok. 150 pierścionków po godzinach pracy, rezygnując z zasłużonego wypoczynku.

Z kolei pierścionki te obaj bracia wraz z rodzinami, krewnymi i znajomymi zanosili do urzędów probierczych Łodzi lub Warszawy w celu ocechowania. Kiedy produkt finalny był już właściwie ocechowany wędrował bądź do sklepów jubilerskich, bądź do prywatnych odbiorców na terenie całego kraju, przynosząc kilku ludziom z tym związanym nie tylko splendor u rodziny, ale i wcale pokaźną gotówkę. I tak np. Tadeusz Z. w ciągu 2 lat (od jesieni 1970 r. do listopada 1972 r.) kupił i sprzedał co najmniej 2 kilogramy i 20 dkg złota wartości ponad 300 tys. zł oraz kamienie syntetyczne na sumę ok. 200 tys. zł.

„Żyła złota", przynosząca tak pokaźną gotówkę nie pozostawała bez wpływu na sposób życia i bycia członków gangu. Pieniędzy na życie sobie nie żałowali i co gorsza, wpadli w szpony hazardu. Część pieniędzy z takiej np. ruletki pozostała w rodzinie, bowiem jej właścicielem był teść Henryka M.; część pieniędzy pochłonął natomiast poker i wyścigi konne na Służewcu. Dobrana paczka lubiła męskie zabawy.

Nie wszystko jednak przepito i przegrano w karty, ruletkę czy na wyścigach konnych. Rewizja przeprowadzona przez przedstawicieli organów ścigania pozwoliła na zarekwirowanie obu przestępcom sporej ilości biżuterii, dolarów, kamieni syntetycznych i półszlachetnych. Posiadali oni także, jako już ludzie „z branży" wagi jubilerskie.

Odkryto u nich rzadkie walory numizmatyczne w postaci 19 złotych monet południowo-afrykańskich. 5 z nich Stefan M. sprytnie ukrył pod parapetem okiennym na zewnątrz domu, natomiast Henrykowi 14 takich monet przechowywał teść.

Najdalej jednak posunął się w swej pomysłowości Stefan M. Skrytkę urządził sobie w kotłowni... Prezydium RN m. Łodzi, w której pracował jako palacz. Znaleziono tam m. in. wagę jubilerską z odważnikami, 2 pierścionki, 5 dolarów w banknotach i ruble.

Eksploatację żyły złota przerwało wtargnięcie MO. Członkowie przestępczej szajki oczekują w więzieniu na rozprawę. Złoty interes przestał być złotym, jego żółtawy blask zastąpiła szarość więziennej celi.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

KOMIK·SEX! MAGAZYN!! ZALEŻNY OD ŻYCIA POD REDAKCJĄ ANDRZEJA BAM GRUNA co tydzień odcinek (jeden)

HASŁO TYGODNIA:

LEPIEJ MIEĆ KOWALSKIEGO W GARŚCI NIŻ WRUBLA NA DACHU

i niech nam żyją gronkowce. (Tłuste)

ZA ŻADNE BŁĘDY ORTOGRAFICZNE

FILM

Śledztwo skończone proszę zapomnieć

W kinematografii włoskiej od kilku lat obowiązuje prawo serii. Pomijając premiery dzieł wybitnych reżyserów należy odnotować fenomen zmieniającej się mody tematycznej, która decyduje o kolejnych seriach spaghetti-westernów, thrillerów po włosku, filmów „celibatowych" i „rozwodowych". O popularności tych czy innych tematów decyduje komercjalny sukces pierwszego utworu z serii. On wyznacza ideologię i poetykę danego gatunku, który rychło wyczerpuje swą atrakcyjność w licznych powieleniach wyjściowego schematu.

Trudno tu zastanawiać się nad społecznymi przyczynami tych zjawisk i nad formami zbiorowej świadomości, która w nich się objawia. Tworzą one charakterystyczne i wielce zajmujące dla socjologa układy zależności funkcjonujące w kulturze masowej Zachodu. Kultura ta we włoskim wydaniu dysponuje również motywami szlachetnego pochodzenia. Wynikają one z burzliwego klimatu społeczno-politycznego, którym żyją dzisiejsze Włochy. Kraj „gospodarczego cudu" jest rzeczywistością pełną socjalnych kontrastów, kipiącą politycznymi skandalami, aferami gospodarczymi i terroryzowaną przez nadal wszechobecną mafię.

W kinematografii włoskiej bardzo trwałe są tradycje społeczno-politycznych zainteresowań. Światopogląd neorealizmu stał się obowiązującą szkołą artystycznego myślenia dla nowych pokoleń włoskich twórców. W dobie narastającej politycznej sztuki filmowej na całym świecie kino włoskie szczególnie pogłębiło metody opisu i interpretacji faktów i posunęło się w kierunku bezpośredniej interwencji. Film stał się wypowiedzią w publicznej debacie nad różnymi schorzeniami życia społecznego. Nie przekreśla to faktu, że dyskusja ta toczy się również na prawach popytu i trudno tu dokładnie oddzielić polemiczną pasję, odwagę i uczciwość od chłodnej kalkulacji finansowej. Tym trudniej, że docierają do nas okazy artystycznie najciekawsze, w których jeszcze nie nastąpiła standaryzacja problematyki. Mowa o serii filmów zaciekle krytykujących włoski aparat władzy i jego środki represji: policję, sądownictwo i więziennictwo. Po prekursorze całej serii znakomitym utworze Elia Petriego „Śledztwo w sprawie obywatela poza wszelkim podejrzeniem" mamy okazję obejrzeć „Śledztwo skończone — proszę zapomnieć" w reżyserii Damiano Damianiego.

Obiektem krytycznej obserwacji Damianiego staje się włoskie więzienie, do którego trafia — w wyniku fałszywego podejrzenia — zamożny architekt. Do czasu wyjaśnienia sprawy dokładnie poznaje więzienną zbiorowość i panujące w niej stosunki. Dla reżysera więzienie nie jest miejscem absolutnej izolacji w której powstają niepowtarzalne struktury społeczne. Więzienie jawi się tutaj jako koszmarne panopticum niepokojąco podobne do społeczeństwa na zewnątrz. Stamtąd bowiem przenikają przez mury więzienne hierarchie prestiżu i wartości, które w tym miejscu uwyraźniają swój patologiczny sens. Pieniądz i tutaj wyznacza ludzką sytuację. W bogatej galerii przymusowych lokatorów tego ponurego pensjonatu znaleźć można reprezentantów różnych postaw społecznych: od cynicznej kanalii zdolnej do każdego morderstwa na wynajęcie aż do człowieka broniącego do końca uczciwości. Damiani rozbija w proch wszelkie złudzenia — jeżeli takowe jeszcze istnieją — na temat reedukacyjnej roli więzienia. Ukazuje nieuchronną destrukcję osobowości wspomnianego architekta, który szmacieje w obliczu poniżających okoliczności. Jednym z głównych wątków bogatej i sensacyjnej fabuły filmu jest sprawa inżyniera Pesenti, jedynego świadka katastrofy przy budowie zapory wodnej, w której zginęły setki ludzi. Pesenti odrzuca wszelkie finansowe propozycje bossów winnych tragedii, których wpływy docierają do więzienia i nie chce milczeć. Zostaje zatem w przerażający sposób zamordowany pod pozorem samobójstwa. Zbrodni dokonuje przy pełnej akceptacji władz więzienia doskonale tu zadomowiony kryminalista skazany na dożywocie.

„Śledztwo skończone" posługuje się uproszczonymi argumentami publicystyki interwencyjnej. Wynikająca ze sprawnie aranżowanych sytuacji fabularnych krytyka systemu nie przekracza jednak naszych obiegowych mniemań na ten temat znanych przed filmem. Damiani nie zaskakuje widza nieoczekiwaną pointą polityczną, nie szuka psychologicznej przewrotności. Dokumentalna narracja służy ideologii jasnej i nadto czytelnej w swym schemacie. Daleko stąd do alegorycznej wymowy filmu Petriego, którego sensy tworzyły oryginalny dyskurs moralistyczny o uniwersalnych ambicjach. Prawo serii działa.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

„FORUM" Z KĄKOLEWSKIM

Chwaliłem już w tej rubryce red. Ambroziewicza i prowadzoną przez niego audycję. Jak do tej pory nikt nie podważał walorów informacyjnych i poznawczych tego programu. Ostatnio było inaczej, ale nie tylko dlatego, że Ambroziewiczowi zabrakło ministrów. Praktycznie spotkanie na forum można zorganizować z każdym, kto ma coś ważnego i ciekawego do powiedzenia. Jednak co innego słuszna teza, co innego realizacja.

Krzysztof Kąkolewski należy do czołówki polskiego reportażu. Od lat wszystko co prezentuje spotyka się z żywym zainteresowaniem czytelników, mimo iż często obszary jego dziennikarskich penetracji wzbudzają zdziwienie lub wręcz opory. Dotyczy to także cyklu reportaży z NRF zamieszczonych w „Literaturze", w których relacjonuje przebieg swoich rozmów z katami narodu polskiego, którzy uszli sprawiedliwości i wiodą sobie w NRF spokojny, ale i często aktywny żywot.

W dyskusji postawiono pytanie: (które n.b. pojawiło się już wcześniej na łamach prasy) czy polski dziennikarz powinien w ogóle rozmawiać z tymi osobnikami?

I jaki z tego efekt? Gdyby nie udział w programie nestora polskiego reportażu Melchiora Wańkowicza nie warto byłoby włączać telewizora. Bo problem postawiono na głowie. Wprowadzała więc w zdumienie ekwilibrystyka red. Szczypiorskiego z „Polityki", który usiłował z miernym skutkiem bronić swoich anachronicznych poglądów. Inni dziennikarze dotykali marginesowych, prawie warsztatowych problemów, siląc się na małe prowokacje pod adresem Kąkolewskiego, który w moim przekonaniu zawiódł telewidzów również.

Byliśmy więc świadkami kłótni przed wielomilionową publicznością, najzwyklejszej w świecie pyskówki w której rzuca się od inwektyw. Namiętności sztucznie rozpalone nie pozwalały na rzeczową, udargumentowaną wymianę zdań, która przecież mimo krańcowych stanowisk mogła być interesująca i prowadzić do jakichś głębszych uogólnień.

Kąkolewski swoimi reportażami zasłużył na uwagę, podjął się zadania trudnego i niewdzięcznego. Zasłużył więc na poważne potraktowanie. Jeszcze raz okazało się jak trudno zdobyć akceptacje w swoim środowisku. Nie chcę tu przyczepiać łatki zawistników ludziom, którzy reprezentowali wachlarz poważnych pism i gazet, ale tak to mniej więcej wyszło. Choćby nawet w sposób niezamierzony, mimo woli...

TEATR I FILM

„Przyjedzie taki pod sam dom i..." wg „Sługi Bożego" Caldwella. Kiedy oglądałem to widowisko pierwszy raz zrobiło na mnie duże wrażenie. Szczególnie role Holoubka i Gołasa. Nadal pozostało we mnie przeświadczenie, że jest widowisko sprawnie zrobione, mające walor popularyzatorski dobrej literatury. Ale powtórne zetknięcie się z propozycją Holoubka wywołało znacznie więcej sprzeciwów niż zachwytów. A najważniejsze: jakaś sztuczność, gładkość, tandetność przedstawienia tak drażliwych i nietypowych sytuacji moralno-obyczajowych. Demoniczność w scenie nawracania grzeszników w wykonaniu tak, znakomitego aktora, przeobraziła się w niezamierzoną groteskę, śmieszyła zamiast wstrząsać czy przynajmniej zadziwiać. W sumie pozostało wrażenie czegoś chybionego, nie przemyślanego do końca.

I słowo o filmie jugosłowiańskiego reżysera Z. Berkovica „Powrót na miejsce wypadku". Berkovic wg własnego scenariusza zrobił film wybitny, a nawet coś więcej. Pokazał (mimo iż to dopiero jego drugi film pełnometrażowy) jakie są możliwości filmu o tematyce współczesnej. Prostymi i oszczędnymi środkami, jeśli nie odpowiedział (bo chyba nie o to chodzi) to zadał nam wiele pytań jakie, chcąc czy nie, muszą sobie zadawać ludzie pod każdą szerokością geograficzną. Zadał nam kilka pytań ważkich: o sens życia, kryteria wyboru, szczęścia, kariery, postawy moralne — łącząc umiejętnie ich uniwersalny wymiar z sugestywną prawdą psychologiczną reakcji bohaterów.

Być może nie osiągnąłby tych wszystkich efektów gdyby nie odtwórczyni głównej roli — znakomita, fascynująca Ana Karic. Przyznam się, że oglądałem ten film z pewną zawiścią. Bo przypominały mi się różne „Anatomie miłości", „Opętania" i tym podobne niedonoszone twory z ostatniej serii naszej kinematografii. I było to chyba uczucie w pełni uzasadnione.

JAROSŁAW TARNO

PLASTYKA

JEF VERHEYEN

W Muzeum Historii Sztuki dzięki pomocy Ministerie van Nationale Opvoeding en Nederlandse Cultur w Brukseli oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki w Warszawie zorganizowano interesującą ekspozycję malarza z Antwerpii Jefa Verheyena. Istotą twórczości tego malarza są zagadnienia kolorów, ich wzajemne relacje, liczne i wielokierunkowe ich na siebie oddziaływanie.

„Wiemy doskonale, że światło składa się z fal świetlnych i cząsteczek oraz, że każdy przedmiot barwi się własnym odbiciem. Kolory w zależności od obecności tych fal świetlnych dzielą się na zimne i gorące. Każdy kolor kojarzy się nam z określonym pojęciem lub rzeczą; i tak, kolor czerwony ewokuje krew lub pojęcie siły, dynamizmu. Nie można oddzielić koloru od jego znaczenia. Lecz jak percepcja koloru tłumaczy znaczenie koloru? W jakim momencie zatem kolor staje się realnym symbolem? Postrzeganie koloru, często zmysłowe jest natychmiastowe, natomiast poznanie jego istoty wymaga dłuższego czasu. Nie zostało nadal ustalone, dlaczego człowiek spostrzega poszczególne kolory — niebieski, czerwony... Widzieć kolory to „odczuwać" je za pomocą oczu, „odczuwać" gdyż każdy kolor ma określoną wartość emocjonalną. Posiadać wiedzę o kolorach i umieć ją zastosować — to dwa różne zagadnienia. Pomimo ważnych odkryć Younga i Hemholza oraz Mac Nicholsa całkowite wyjaśnienie zagadnienia koloru jest nadal w sferze doświadczeń. Dotychczasowe poszukiwania dostarczają nam informacji, stanowią podnietę do dalszych eksperymentów, wyjaśniających istotne poznanie. I kto nam może odpowiedzieć, jaka jest istota koloru? Przyswojenie koloru odbywa się nadal w granicach przedmiotów ogólnie znanych — potwierdziły to również prowadzone przeze mnie doświadczenia. Przykładem może być reakcja na kolor pomarańczowy, który odbierając łączymy z owocem pomarańczy. Kiedy Cezanne powiedział „kontury wymykają mi się, uciekają" był świadom tego, że temat nie ma istotnego znaczenia. Za punkt wyjścia brał rzeczywistość trójwymiarową, którą na płaszczyźnie obrazu uzyskiwał wyłącznie za pomocą koloru. Dla Cezanna forma była związana z istotą koloru nierozerwalnie. Chciałbym podkreślić, że moje doświadczenia w dziedzinie koloru są całkowicie odmienne od doświadczeń impresjonistów i luministów, którzy oparli je wyłącznie na poznaniu zmysłowym. Na podstawie własnych doświadczeń rozróżniłem trzy rodzaje kolorów. Są to: 1) percepcja koloru materialna, 2) percepcja koloru rzeczywista, 3) percepcja koloru niewymiarowa."

Te słowa wypowiedziane przez Jefa Verheyena określają najpełniej kierunek jego artystycznych poszukiwań. Wystawa jego jest wystawą trudną, ale rozszerza niepomiernie nasze dotychczasowe pojęcia o barwie.

Czy pójdziemy do cyrku?

„Być może to już po raz ostatni namiot prawdziwego cyrku — Jeana Richarda — wznosi się w centrum Paryża?" — zauważa recenzentka paryskiego tygodnika „L'Express". Czemu po raz ostatni? Bo cyrk jako instytucja rozrywkowa, zwłaszcza w wielkim mieście staje się przeżytkiem. Gdzie rozstawiać cyrkowy namiot, wśród zatłoczonych samochodami placów? Gdzie podziać się z olbrzymimi, często głośno ryczącymi zwierzątami? Gdzie mają stać wozy, jeśli to cyrk wędrowny? Instytucja stałego, związanego głównie z danym miastem cyrku już dawno wymarła. Stały się bardziej atrakcyjne inne masowe imprezy — występy orkiestrowe i piosenkarskie, wielkie widowiska baletowe, imprezy sportowe jak boks, piłka nożna, walki zapaśnicze, rajdy samochodowe, wyścigi motocyklowe, pokazy gimnastyczne na wielkich stadionach itd., itd. A cyrki wędrowne? Przy ożywionym ruchu kołowym jak wlec się przez zatłoczone samochodami drogi ze słoniami, żyrafami, wielbłądami i lwami? Toteż już ostatnie karawany cyrkowe wędrują głównie w lecie, odwiedzając przede wszystkim miejsca wypoczynkowe.

Cyrk Jean Richarda to jeden z ostatnich słynnych cyrków francuskich, a jest w nim wszystko czego oczekujemy po solidnym cyrku, znanym nam jeszcze z dzieciństwa. A więc dziś w środku wielkiego Paryża po raz ostatni chyba, widzowie mogą zobaczyć i usłyszeć klownów, grających na przedziwnych instrumentach, podziwiać akrobatów, linoskoczków, oklaskiwać numery z tresurą zwierząt, słoni, wielbłądów, lwów, koni.

Cyrk! Ta przedziwna instytucja, która za czasów naszego dzieciństwa była krainą cudowności i niezwykłości, osobliwych ludzi, tresowanych zwierząt, świateł, muzyki. Genezy cyrku szukać by należało jeszcze w starożytności. Poprzez średniowieczne grupy igrców i wagabundów cyrk dotarł do naszych czasów w formie niesłychanie bogatej, zróżnicowanej, barwnej, pełnej cudownej zręczności ludzi i zmyślności zwierząt.

Tristan Remy w felietonach drukowanych ostatnio w dzienniku „l'Humanité" upatruje początków cyrku doby nowożytnej, w rozwoju konnicy i jej rosnącego znaczenia militarnego mniej więcej od połowy wieku XVIII i przez cały wiek XIX. Po burzliwej epoce wojen napoleońskich, w czasach jako tako względnego pokoju, kawalerzyści, których jedyną umiejętnością było doskonałe opanowanie sztuki jeździeckiej, zgłaszali się na imprezy, wielkie pokazy ekwilibrystyki konnej, by bawić tłumy zbierające się wokół wielkich hipodromów. Cyrk wchłania wkrótce w siebie te imprezy, doprowadza sztukę jeżdżenia konno do szalonej perfekcji i niemal nadludzkiej zręczności. Bywały czasy, że na dwadzieścia numerów cyrkowych, aż piętnaście było popisami ekwilibrystyki konnej. Powstają specjalne szkoły jeździeckie, których uczniowie znajdują często zatrudnienie w cyrkach. Równocześnie ćwiczenia sprawności fizycznej, uprawiane intensywnie w szkołach wojskowych, znajdują swe odbicie również na arenach cyrkowych. Karkołomne ćwiczenia na trapezach, chodzenie po linie, niebezpieczne, mrożące krew w żyłach skoki w powietrzu — wzbogacają program cyrkowy. Do tych numerów komponuje się specjalne utwory muzyczne, a dla dodania jeszcze większego uroku wprowadza na arenę kobiety. Z chwilą rozpowszechnienia się światła elektrycznego cyrk wykorzystuje je dla dla swych celów. Imprezy odbywają się teraz w zmieniającym się, nieraz kolorowym świetle elektrycznym, co w wielkim stopniu wzbogaciło efekty widowiska.

Jest sprawą niezmiernie interesującą jak niektóre osiągnięcia i wynalazki techniczne były adaptowane przez cyrk. W roku 1868 Włoch **Ancillotti** sporządza pierwszy w świecie bicykl — pradziadka naszego roweru. I oto niemal natychmiast ów drewniany jeszcze wówczas pojazd, pojawia się na arenie cyrkowej, gdzie zaczyna święcić niebywałe triumfy. Akrobaci konni tracą prymat na korzyść akrobatów welocypedowych i choć konie nie zostają aż po dziś dzień wyparte z aren cyrkowych, popisy jeździeckie przestają być gwoździem programu.

Podobnie stało się z wynalazkiem, który dał początek naszemu kinu. Pierwsze, bardzo prymitywne pokazy kinematograficzne traktowano niemal jak sztuczki jarmarczne. Nikt jeszcze wtedy nie przypuszczał, że ówczesna kinematografia przerodzi się kiedyś w potężną instytucję, jaką jest dziś kino. Cyrk przejął wynalazek owych ruchomych obrazków i przez jakiś czas publiczność bawiła się doskonale oglądając właśnie m. in. w cyrkach poruszających się ludzi i zwierzęta na pierwszych ekranach kinowych.

Wreszcie na dużą skalę pojawiają się na arenie cyrkowej dzikie zwierzęta. Podboje kolonialne sprawiają m. in. to, że do Europy zwozi się dzikie zwierzęta z bardzo nieraz odległych zakątków świata, tresuje je i włącza do programów cyrkowych. Po wojnie 1870/1871 Hamburg staje się tym portem, przez który przeładowuje się zwierzęta do ogrodów zoologicznych i cyrków. Przy końcu dziewiętnastego wieku i jeszcze z początkiem naszego, cyrk dochodzi do pełni swych możliwości rozwojowych. Jego program staje się bardzo urozmaicony. Włącza do swego repertuaru wszelkiego rodzaju popisy zręczności, pojawiają się brzuchomówcy i połykacze ognia i żab, aktorzy nieraz dziwacznie ubrani grają na przedziwnych instrumentach, klowni zabawiają publiczność wesołymi dialogami, taniec, śpiew, muzyka ożywiają widowiska cyrkowe. I oto teatr, opera i operetka czują się zagrożone. Co będzie jeśli ich rolę przejmie wreszcie tak popularna instytucja jak cyrk? I dlatego cyrk zostaje wtedy obwarowany rozmaitymi, dość szczegółowymi przepisami, których przekroczyć mu nie wolno. Wolno prowadzić na arenie dialog, ale niech go prowadzą śmiesznie wyglądający klowni i niechże ten dialog nie przypomina w niczym teatru. Wolno śpiewać, ale w pozycji ciała dość dziwacznej, stojąc np. na głowie czy balansując na trapezie, lub na szczycie żywej piramidy złożonej z kolegów-cyrkowców. Wolno grać na instrumentach, ale muszą być one dziwaczne albo też gra na nich odbywać się musi w osobliwych, właściwych dla cyrku sytuacjach.

Jeszcze jedna ciekawa sprawa, o której niewielu ludzi wie. Otóż cyrk, który przez długie lata raczej korzystał z innych dziedzin rozrywkowych, dziś służy często filmowi. Cyrk bowiem jest właśnie tą bazą, z której filmowcy najchętniej werbują kaskaderów.

„Czy pójdziemy do cyrku?" Nie wiadomo jak długo jeszcze to pytanie będą mogły dzieci zadawać swym rodzicom. Cyrk powoli, ale systematycznie wypierany jest z miast. Jeszcze tu i ówdzie rozbija swe namioty, ale już najczęściej na przedmieściach i coraz bardziej traci na swej atrakcyjności wobec konkurencji innych masowych i popularnych widowisk i rozrywek.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Zdarzeni A · I · Zwierzeni A

JAK ZORGANIZOWAĆ FESTIWAL?

Latem mamy zawsze sezon festiwali, których nazw nawet wymieniać nie trzeba bo wszyscy je znają. Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, aby festiwali było więcej. Dlaczego nie mają organizować festiwali dzielnice i powiaty, gminy i osady?

Temu zbożnemu celowi służy **„Instrukcja dotycząca organizacji przeglądów konkursowych i festiwalowych"** wydana przez **Dział Artystyczny Łódzkiego Domu Kultury.** Wiadomo bowiem j a k wyglądają festiwale, lecz przecież mało kto wie, w jaki sposób zabrać się do dzieła. Wszelkie w tej mierze wątpliwości rozprasza nam Dział Artystyczny ŁDK.

Tak więc, aby zorganizować festiwal należy przede wszystkim **„uzgodnić termin z jednostką nadrzędną".** Słusznie! Bez uzgodnienia żaden festiwal nie jest ważny. Okazuje się poza tym, że aby odbył się festiwal trzeba także **„przygotować odpowiednią salę".** Mało tego! Trzeba także **„umożliwić zespołom wejścia i zejścia ze sceny".** No, no — kto by pomyślał!

W myśl instrukcji potrzebny jest także **„nastrojony fortepian lub w zastępstwie duże pianino".** Jeśli dotychczas rzesze potencjalnych organizatorów uważały, że można zorganizować festiwal bez fortepianu (lub bez dużego pianina w zastępstwie) — instrukcja ŁDK rozprasza wszelkie na ten temat wątpliwości.

Punkt czwarty instrukcji zaleca także **„stoliki dla jury wraz z oświetleniem".** Bez stolików podobnie jak bez oświetlenia festiwal jest nieważny. W ten sposób ŁDK zdecydowanie odciął się od praktyki Festiwalu Opolskiego, gdzie jak wiadomo jury pozbawione zostało stolików, nie mówiąc już o oświetleniu.

Okazuje się także, że festiwalowi potrzebny jest **„organizator imprezy odpowiedzialny za całość, który swoim autorytetem potrafi opanować niesforną nieraz publiczność".** Koniec cytatu.

Święte słowa, bieda tylko w tym, co zrobić jeśli się taki organizator z autorytetem nie znajdzie? Co wówczas począć z **„niesforną nieraz publicznością"?** I co to w ogóle znaczy **„niesforna publiczność"?** Czy taka, która przyszła (o zgrozo!) bawić się? Czy taka, która się nie zgadza z ocenami jury?

Z tonu instrukcji wynika, że publiczność jest na festiwalach uciążliwym balastem, która organizatorom (tym z autorytetem oraz tym bez) przysparza tylko kłopotów. Myślę, że jest na to rada: wydać następną instrukcję „jak wyeliminować publiczność z festiwali".

Publiczność jest zresztą mało ważna. Ważniejsze, aby **„opodal wejścia do pomieszczenia, w którym odbywa się impreza zainstalować stolik z napisem „recepcja", przy którym dyżurować będą odpowiedzialni pracownicy z ramienia organizatorów".** Koniec cytatu. Odnoszę niejasne wrażenie, że w ogóle na festiwalu najważniejsze są stoliki.

Ale już następny punkt instrukcji przekonuje mnie, że nie tylko stoliki są ważne. Spójrzmy bowiem, co jest na festiwalu konieczne. Cytuję: **„W czasie trwania imprezy koniecznym jest zapewnienie uczestnikom gorącej herbaty bądź napojów chłodzących. Można również uruchomić bar, o ile istnieją sprzyjające warunki".** Przypuszczam — bo instrukcja tego nie precyzuje — że w barze będą również stoliki.

Reasumując uważam, że komponowanie, powielanie i rozsyłanie powyższych tekstów ma ogromne znaczenie instrukcyjno-metodyczne. Ileż to się zdarza festiwali bez możliwości wejścia i zejścia ze sceny, bez fortepianu — a nade wszystko bez stolików. Cenna instrukcja Działu Artystycznego ŁDK kładzie kres podobnym praktykom.

Przypomina mi ona słynny już dziś instruktaż z książki telefonicznej, pouczający abonentów, że aby zatelefonować trzeba „włożyć palec wskazujący do otworu na tarczy, zawierającego odpowiednią cyfrę i przesunąć palec w prawo (zgodnie z ruchem wskazówki zegara) — aż do języczka oporowego".

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

POWIEW ZACHODU

Przed laty polscy show-businessmani zaproponowali nam rzecz nielichą — kolosalnego wieloryba. Cóż jednak znaczy takie — choćby największe bydlę, jeśli jest wypchane i absolutnie nieruchome, wobec trzech samochodów, które jeżdżą wypełnione samymi Francuzami plus jeden Szwajcar (chyba z tych lepszych, mówiących po francusku). Rzecz jasna — nie ma żadnego porównania. Oczywiście mogłoby się wydawać, że z pomysłem tym spóźniono się o ładnych parę lat, kiedy „Auto Rodeo" zrobiłoby jeszcze większe wrażenie. A jednak mimo posiadania rekordowego Polskiego Fiata społeczeństwo nasze, znane ze zdrowego krytycyzmu w stosunku do rodzimych produktów, przychyla się w stronę firm bardziej renomowanych. I słusznie: zdumienie budzi fakt, że coś tak zdezelowanego jak auto-rodeowe Peugeoty może się w ogóle poruszać.

Zdumienie to trwało dosyć długo i stało się udziałem publiczności wszystkich niemal większych miast. Stadiony napełniły się tłumami płacącymi bez szemrania 25—30 zł od osoby. Dało to — jak nietrudno sobie wyobrazić — rezultaty finansowe idące w grube miliony.

Nie żal mi jednak tego. Warto było dać wszystkie pieniądze, aby mógł się przy tej okazji w całej krasie ujawnić geniusz Jana Świącia — który w pełni zasłużył sobie na przydomek **„kamikadze polskiej konferansjerki".**

„Nieustająca raca dowcipu", „permanentny błysk intelektualny", „wulkan intymności", „lawina wdzięku" — wszystkie te określenia tylko w minimalnym stopniu oddają kunszt gospodarza i duszy imprezy — Jana Świącia. Ale zanim dam się porwać czarowi wspomnień i notatek — kilka słów o tym, co w istocie rzeczy Jan Świąć przyćmił.

A więc: kolorowa publiczność malowniczo faluje w oczekiwaniu. Pobieżny rzut oka na okolice stadionu „Orła" utwierdza nas w przekonaniu, że przyszli tu przede wszystkim posiadacze samochodów uzupełnieni posiadaczami in spe. Na parkingu powarkują, wyją i krztuszą się trzy maszyny marki Peugeot — biała, żółta i czerwona. Na każdej — wielkimi literami wymalowano nazwisko szefa przedsięwzięcia: LEGRIS. Z głośnika leje się pogodna muzyka. Maszyny kichają, tłum szemrze. Ale oto muzyka milknie, stadion cichnie i metaliczny męski głos wstępnie wprowadza nas w to, co za chwilę nastąpi. Pada stwierdzenie, że zobaczymy przykłady **„mandatowej jazdy"** na **„stalowych rumakach samochodowych".** Po czym metaliczny głos miękko rzuca: Jasiu, proszę! Jasiu — to Jan Świąć. I Jan Świąć ukryty skromnie przed publicznością, swoim wokalem jedynie bierze nas we wszechwładne posiadanie. Dowiadujemy się, że oto po sukcesach w całym kraju (należy do nich niewątpliwie występ w Rzeszowie, gdzie publiczność z dwóch imprez stłoczono na jednej) zaszczyciła nas ekipa znakomitych kaskaderów francuskich pod dowództwem pana Legris, **„który jest bardzo miły".** I już trzy stalowe rumaki samochodowe z wybitymi szybami i zdezelowaną karoserią wykonują na stadionie honorową rundę wstępną, po czym w pędzie, przy pomocy kontrolowanego poślizgu obracają się tyłem do kierunku jazdy. Z maszyn triumfalnie wyskakują bohaterowie wieczoru, a Jan Świąć dokonuje prezentacji. Czyni to lekko i urokliwie, mówiąc np. o jednym z kaskaderów, że lubi on klasyczną muzykę i... piękne polskie dziewczęta. My oglądamy kaskaderów, oni oglądają swobodnie nas, szukając prawdopodobnie w tłumie tych pięknych polskich dziewcząt, które dałoby się polubić jeszcze dziś, bo jutro trzeba jechać po następne laury, do innego miasta.

Jan Świąć tymczasem zachęca do oklaskiwania gości, bo **„to im tylko dodaje dopingu".** Apel ten, oczywiście, oczyszcza atmosferę z podejrzeń, że ci artyści kierownicy i karoserii mogą być w całej imprezie zainteresowani materialnie. Sprawa staje się jasna: najwyższą nagrodą i zachętą do pracy nad sobą są dla nich brawa polskiej publiczności. I w akompaniamencie tych braw rozpoczyna się seria jazd na dwóch kołach, co Jan Świąć, który już do reszty wszedł w rolę duszy towarzystwa, zabawnie komentuje słowami, że on na dwóch kołach też potrafi, ale tylko na hulajnodze, i że na dwóch nogach też niełatwo nam zachować równowagę (czasem). Jan Świąć nie traci rezonu, kiedy po pierwszych rundach psują się i zjeżdżają na parking dwa samochody. Oświadcza, że **„silnik to rzecz fizyczna"** i niezaprogramowaną lukę wypełnia szeregiem cennych informacji i dowcipów. Najmniejsze wrażenie zrobiła na publiczności informacja, że nasi goście to również kaskaderzy telewizyjni. Najmniejsze, ponieważ w naszej telewizji występują prawie wyłącznie kaskaderzy, trudno więc nam w tym względzie zaimponować. Ale już informacje o tym, że samochód jadący na dwóch kołach ma dwa punkty oparcia, o tym, że rozpędzony samochód wjeżdża na coś rozpędem, o tym, że samochód posuwa się własnym ciężarem ciała — mają swoją wymowę i wywołują należyty dreszczyk emocji.

Każda ewolucja na bieżni stadionu wywołuje zresztą w Janie Świąciu górski strumień humoru. Kiedy pan Legris przejeżdża przez płonącą ścianę, Jan Świąć mówi: **„popatrz polska młodzieży, co potrafi francuski wapniak".** Kiedy dwóch kaskaderów staje na drewnianych postumentach, które są następnie spod nich wytrącane uderzeniem pędzącego samochodu, Jan Świąć komentuje to perlistym zdaniem: **„kolega francuski awansuje teraz na wyższe stanowisko — można do niego mówić — monsieur naczelnik".**

Jan Świąć jest dobry na wszystko: na deszcz i pogodę, na stress rozwodowy, przepicie, rupturę i wypukłe piegi. Ale Jan Świąć jest za dobry na francuskie „Auto Rodeo". Nie wolno doprowadzać do tak okrutnych konfrontacji, trzeba brać pod uwagę, że kaskaderzy, francuscy są jednak naszymi gośćmi, którzy tu przyjechali z najlepszymi intencjami. Intencjami wzbogacenia naszej kultury o spektakl w rodzaju „Żyda w beczce", „Winnetou i Apanaczi", czy imprez estradowych, prowadzonych przez niezapomnianego Andrzeja Rokitę — tyle, że w wydaniu zmotoryzowanym.

MAREK WAWRZKIEWICZ

PRZEŚZŁOŚĆ teraźniejszość

1917 - POWSTANIE W PETERSBURGU

„W 1913 r. panująca w Rosji dynastia Romanowów obchodziła 300-lecie rządów. Urządzano uroczyste akademie i nabożeństwa, wygłaszano przemówienia, pisano książki i artykuły... A po czterech latach wichura rewolucji starła z powierzchni ziemi i dynastię Romanowów, i samowładztwo w ogóle. Po obaleniu caratu rewolucja postępowała naprzód, wkraczając w nową socjalistyczną fazę".

Radziecki historyk Edward Burdżałow, którego książkę „Rewolucja lutowa 1917 r." wydało ostatnio PWN (1973), nie ograniczył się do opisu powierzchownych, choćby najefektowniejszych faktów. Chodziło mu nie tylko o drobiazgową rekonstrukcję wydarzeń, ale o ich wytłumaczenie, o wyjaśnienie mechanizmu społecznego dokonujących się zmian. Dopiero takie ujęcie umożliwiło mu dostrzeżenie związków, jakie łączyły rewolucję lutową z jej poprzedniczką z 1905 r., oraz zrozumienie prawidłowości przerastania rewolucji burżuazyjnej w socjalistyczną. Właśnie w lutym 1917 r. proces ten został zapoczątkowany.

„Przeszłością rewolucji lutowej jest rok 1905, przyszłością — październik roku 1917 — powiada E. Burdżałow. — Druga rewolucja rosyjska kontynuowała dzieło pierwszej i rozwinąwszy się na szerszym gruncie, przygotowywała największy przewrót w historii Rosji, a także w historii całej ludzkości. Lenin nazwał ów przewrót trzecią rewolucją rosyjską i w dniu jej zwycięstwa — 25 X (7 XI) 1917 r. — dawał wyraz pewności, że w ostatecznym rozrachunku rewolucja doprowadzi do zwycięstwa socjalizmu."

Śledząc bieg rozważań autora czytelnik raz jeszcze może się przekonać, jak wiele w pracy historyka zależy od umiejętnego postawienia badawczych pytań, ile zależy od tego, czego będzie on żądał od wykorzystywanych przez siebie źródeł. Źródła, jak wiadomo, odpowiadają tylko na te pytania, które się im postawi, same nie są władne myśleć za historyka. Wprawdzie bez nich nie może istnieć historia, wszakże one same jej jeszcze nie stanowią. Ileż to miernych prac historycznych składa się z tych pracowitych zestawień źródłowych cytatów!

E. Burdżałow przeciwstawia się poglądom burżuazyjnej literatury naukowej i pamiętnikarskiej, która nie potrafiła zgłębić społecznej istoty rewolucji lutowej. „Działacze obozu burżuazyjno-obszarniczego, którzy w wolnych chwilach zastanawiali się nad swymi losami, obwiniali się nawzajem o współdziałanie z rewolucją". Skrajni reakcjoniści wypowiadali pogląd, że to „Duma Państwowa poderwała podwaliny samowładztwa" i dowodzili, że większa jej ustępliwość nie dopuściłaby do zwycięstwa rewolucji. Burżuazyjni liberałowie obwiniali przede wszystkim rząd carski, dowodząc, że gdyby jego polityka była mniej sztywna, gdyby poszedł on na ustępstwa wobec Dumy, nie doszłoby do rewolucyjnego wstrząsu. „Jedni głosili, że winni są Paweł Milukow i Michał Rodzianko, inni całą winą obarczali Grzegorza Rasputina i cesarzową, jeszcze inni czynili odpowiedzialnymi za upadek samowładztwa Aleksandra Protopopowa". Te i tym podobne twierdzenia trafiły z czasem do prac zachodnich historyków i publicystów, przekonały wybitnych nawet polityków, skoro Lloyd George mógł rzec, że „spiskowcami, którzy obalili carat, byli w istocie rzeczy, cesarzowa i Rasputin; w obaleniu caratu pomogli im nieudolni ministrowie, których oni sami wynosili, i których popierali cesarzowa i Rasputin. Car, sam o tym nie wiedząc, był głową spisku... Istniała korona, ale bez głowy".

Radziecki uczony nie przeczy, rzecz jasna, że pełne bankructwo systemu carskiego było już zupełne, ale wykazuje jednocześnie, że twierdzenie, iż carat upadł niejako sam, że dokonała się — jak powiedział Paweł Milukow — „Samolikwidacja starej władzy", jest kolosalnym uproszczeniem, uwarunkowanym politycznymi postawami przeciwników rewolucji.

„Pełne bankructwo caratu rzeczywiście było oczywiste — dowodzi historyk — lecz carat padł nie sam, nie zakończył życia powoli i spokojnie na uwiąd starczy, albo na zgrzybiałość: obaliło go powstanie ludu, cisnęli go w otchłań przeszłości robotnicy rosyjscy, przy aktywnej pomocy chłopów, przyodzianych w żołnierskie płaszcze. Carat już przedtem otrzymał silne ciosy (...) Śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad nim dopiero wtedy, gdy na scenę wystąpiła najbardziej postępowa klasa ówczesnego społeczeństwa — proletariat. Bojowa marksistowska partia klasy robotniczej — partia bolszewicka, kierowana przez Lenina, powiodła proletariat i masy pracujące Rosji do szturmu na samowładztwo, aby rozstrzygnąwszy to najbliższe palące zadanie, przystąpić do realizacji celu ostatecznego — budowy socjalizmu".

LEKTOR

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1718. T-4.